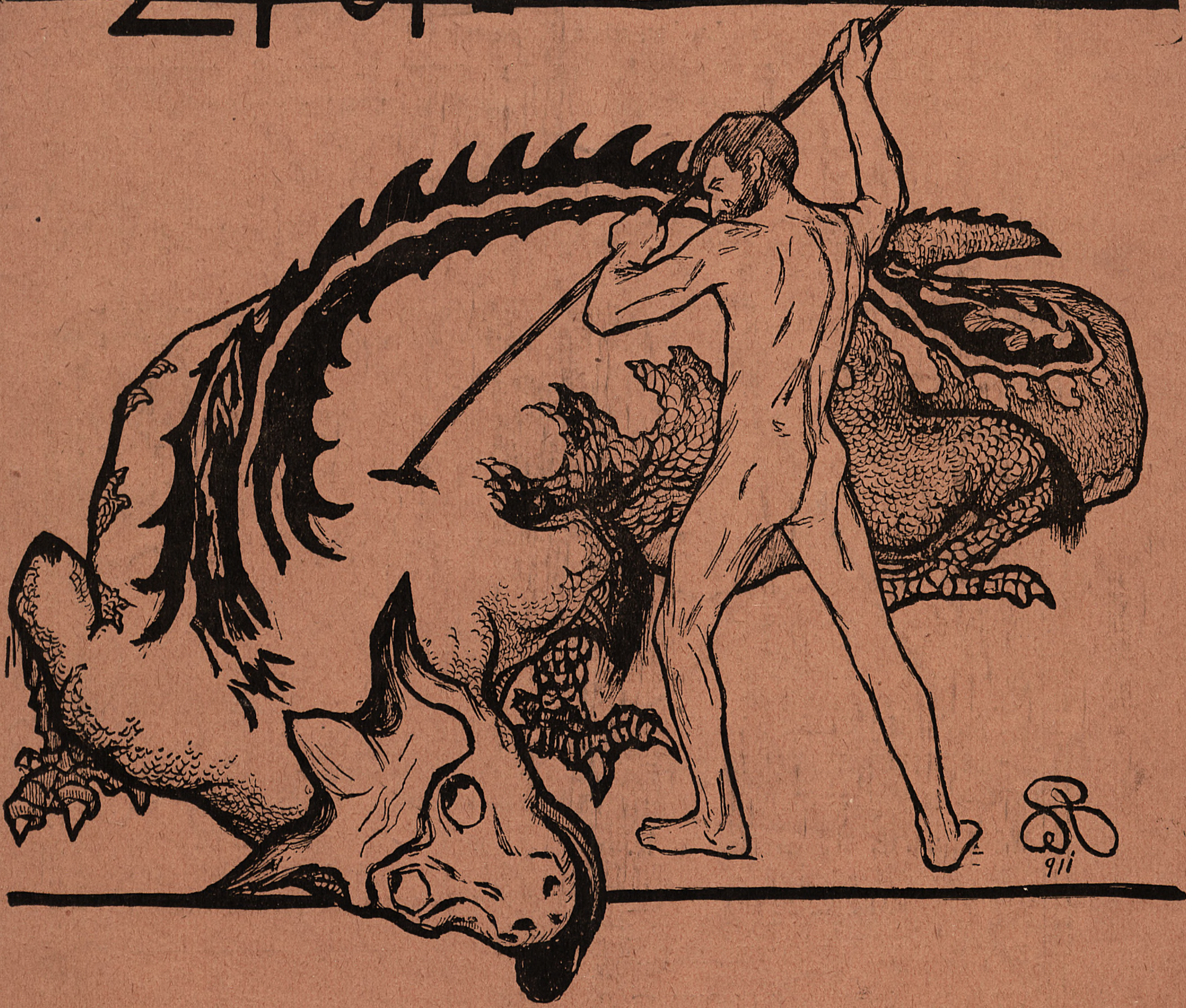
ŻYCIE



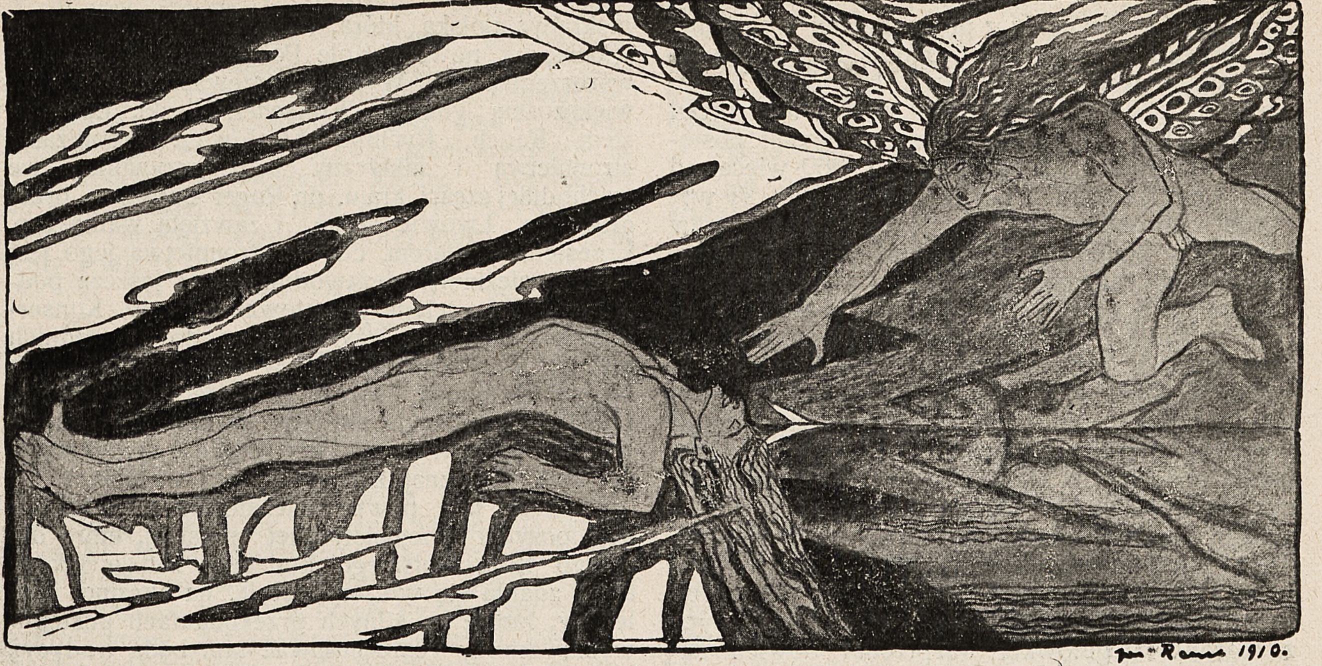
ROCZNIK II. ZESZYT XXVI.

DNIA 23. CZERWCA 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA WE LWOWIE,
ULICA DĄBROWSKIEGO L. 2.

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“ („KURJERA LWOWSKIEGO“) LWÓW CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“.



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

M. LELIWA.

DZIEWIĘTNASTY CZERWCA.



Sic transit gloria mundi. „Tak dogorywa wszelka demagogia“. To, co przed tygodniem pisaliśmy na tem miejscu z powodu pogromu chrześcijańsko - społecznych we Wiedniu, powtarzarzamy dzisiaj w obliczu klęski stronnictwa demokratyczno-narodowego. „Tak dogorywa wszelka demagogia. Własnymi czynami przepaść pod sobą ryje. Własnym występkiem zabija się w oczach ludu. Chcąc zwodzić wszystkich, wszystkim oczy otwiera“. Zwodziła wszystkich narodowa demokracya. Uprawiając politykę skrajnie ugodową, często z uszczerbkiem dla godności narodowej, zwodziła chłopa i robotnika frazesem patryotycznym, bajką powstańczą. Uprawiając politykę, wiodącą do krwawych walk wewnątrz społeczeństwa i do przelewu krwi bratniej, powiadala się orędowniczką całości narodu. Powiada się opozycyjną, gdy podtrzymuje rząd paragrafu 14-go rząd absolutystyczny. Powiada się obrońcą autonomii kraju, gdy zakusom centralistycznym idzie na rękę. „Łotrostwem“ nazywa w „Ojczyźnie“ to, co jednocześnie pisze w „Słowie Polskiem“. O etyce prawi kazania, a pod płaszczykiem protekcyi trzyma galerye Paduchów, Wiącków, Fidlerów, Krupków, Stojałowskich, Stohandlów, Szajerów i Ornsteinów. Na l a r u m dzwoni przeciw nadużyciu władzy administracyjnej, a jednocześnie domaga się, by nadużyciem władzy zwalczano jej przeciwników. Solidarność narodową ma na ustach, a przeciw współzawodniczącym z nią partyom — zmowy z syonistami, z moskalofilami, z Breiterem. Zniewagą i oszczerstwem bryzga na wszystko, co nie słucha jej komendy, a niepowodzenia swoje mieni być klęską narodu. Byt swój wybudowała na kłamstwie. Kłamstwem żyła i zwyciężała — kłamstwem własnem dzisiaj się dławi...

Dziewiętnasty czerwca był dla demokracyi narodowej ciosem strasznym. Tem straszniejszym, że nie sam "blok“ namiestnikowski odbierał jej tu mandaty, odbijał zamachy. Zwyciężała także opozycya postępowa i socyalistyczna, z blokiem zgoła nie związana, przez rząd zgoła nie popierana, a zwyciężała rosnącą siłą swych wpływów, świadomością polityczną wyborców. W okręgu IV. Lwowa minister z ich stronnictwa, p. Głąbiński, „umiłowany przez naród“, jak zaświadczyło „Słowo Polskie“, utrzymuje mandat, o który poszedł z nim do walki jedynie demonstracyjny kandydat — socyalista, wcale nie imponującą większością absolutną głosów 159, tracąc 95

głosów w porównaniu z poprzedniemi wyborami. W okręgu V., w którym ogólna liczba wyborców silnie wzrosła, zdobywa b. poseł Tomaszewski 1384 głosów, o 110 więcej, niż przed czterema laty, gdy jednocześnie kandydat postępowy otrzymuje ich 1591 — o 360 więcej od swego poprzednika z r. 1907. W okręgu VI wychodzi obronną ręką dr. Józef Buzek przeciw dzielnemu kontrkandydatowi, inż. Arturowi Hausnerowi, socyalnemu demokracie, większością absolutną 288 głosów, w czem około stu wyborców z tamtego świata. Ale w okręgu VII. szalony wysiłek prof. Chlamtacza celem wydarcia mandatu Józefowi Hudecowi, socyalnemu demokracie, mimo olbrzymią forsę pieniężną i orgię korupcyi, grzęźnie w bagnie; kandydat wszechpolski pozostaje o 1265 głosów w tyle poza socyalistą polskim. W okręgu III. pupil p. Grabskiego, kandydat Rady Narodowej, p. Józef Ornstein, otrzymuje głosów aż... 65. Tylu było wyborców prawowiernych narodowo: około 700 narodowo prawowiernych legitymacyi, kupionych za narodową gotówkę, odsprzedał bowiem narodowy kandydat na dzień przed wyborami syoniście Standowi... Więc w okręgu IV, głównej twierdzy demokratyczno-narodowej. dotkliwa porażka moralna, dotykająca ministra-wszechpolaka; więc w okręgu III. haniebna, sromotna kompromitacya; więc w okręgu V. klęska. Suma głosów wszechpolskich w okręgach miasta, gdzie kandydowali narodowi demokraci, wynosi 6616; suma głosów postępowych i socyalistycznych polskich w tychże okręgach 7254. Nie liczymy tu okręgu III... Tam, gdzie walka była z kandydatami przez rząd popieranymi, cyfry są mniej wymowne, ale jaskrawsze: w Samborze przygniata dr. Stesłowicz hr. Skarbka olbrzymią większością dwóch tysięcy głosów. W Jarosławiu i w Drohobyczu otrzymują narodowi demokraci nikłe ilości głosów; w Przemyślu atak dr. Adama na mandat socyalistyczny, kończy się fiaskiem, pomimo ogromnych wysiłków i osobistej agitacyi dyktatora stronnictwa. W Złoczowie mandat, posiadany poprzednio przez narodowego-demokratę, teraz, za przyłożeniem się wszechpolaków dostaje się Breiterowi. Z posiadanych dotąd w tej części kraju mandatów ponownie zdobyli wszechpolacy cztery; stracili pięć; o trzy toczy jeszcze się walka. W całym kraju wyszło dotąd wszechpolaków pięciu, akurat tylu, ilu socyalistów polskich, którzy szóstego posła mają już na Śląsku.

Gorzkim jest chleb opozycyi, wówczas nawet, gdy opozycya ta ministra ma w gabinecie i rządowi krajowemu przeciwstawić usiłuje rząd centralny. Ale gorzkim jest on przedewszystkiem wówczas, gdy naraz ujrzy ona w opozycyi przeciw sobie olbrzymią większość własnego społeczeństwa.

— — — — — — — — — — —

Z innych stronnictw socyaliści stan swój posiadania utrzymali świetnie. Do parlamentu wracają, wybrani większą ilością głosów, niż przedtem, Hudec i Diamand ze Lwowa, Lieberman z Przemyśla; Moraczewski, zmuszony jeszcze zmierzyć się przy ściślejszych wyborach w Stryju ze syonistą Reichem, otrzyma, podobnie jak przed czterema laty, wszystkie głosy polskie. Wzmożona niepomiernie wyszła z urny wyborczej demokracya polska, która, jak dziś już można przewidzieć, w nowem Kole Polskiem odegra pierwszorzędną rolę. Wybrani, przeważnie ogromną większością głosów, Kolischer, Kleski, Loewenstein, Rauch, Rychlik, Stesłowicz. Organizator stronnictwa i faktyczny jego przywódca we wschodniej części kraju. dr. Roger Battaglia, przegrał we Lwowie długą i zawziętą walkę z p. Ernestem Breiterem, co dla stronnictwa jego jest ciosem ciężkim; niezawodnie będą jeszcze podjęte wysiłki celem powetowania straty. Konserwatyści wynieśli trzy mandaty do poprzednich pięciu; ponowne wybory w okręgach wiejskich siłę tę pomnożą jeszcze znacznie. Niewątpliwe potężne wzmożenie się tego stronnictwa znaleść winno przeciwwagę w grupie demokratów polskich. Czy znajdzie ją — rzecz wątpliwa.

Jedno jest pewne: niezależnie od wzmożonej opozycyi socyalistycznej polskiej, która dla całego Koła Polskiego bodźcem będzie i kontrolą, znajdą się w samem Kole, na skrajnej jego lewicy, ludzie o silnych przekonaniach postępowych, którzy reprezentować tam będą tradycyę Ludwika Wolskiego, Kornela Ujejskiego, Ottona Hauznera. Jeden z nich, dr. Aleksander Gross, jest już w liczbie posłów krakowskich. Kandydat Polskiego Stron. Post. dr. Aleksander Lisiewicz, odniósł wczoraj w V. okręgu lwowskim zupełne zwycięstwo nad dotychczasowym posłem, narodowym demokratą. W okręgu I. miasta Lwowa inż. Hipolit Śliwinski otrzymał 1231 głosów przeciwko dotychczasowemu posłowi, prof. Roszkowskiemu z 486 głosami i prof. Rydygierowi z 702 głosami; kandydat narodowców ukraińskich, z garstką 186 głosów, spowodował wybór ściślejszy pomiędzy Śliwińskim a Rydygierem. Po stronie p. Śliwińskiego są wszelkie szanse i sympatya wyborców, która po ogłoszeniu wyniku skrutynium znalazła ujście w gorących manifestacyach. Około kandydatury tej jednoczą się w tej chwili postępowcy, socyaliści, ludowcy i demokraci. Po stronie jego kontrkandydata są wpływy arcybiskupie, agitacya jezuitów, bezwzględna taktyka zniewag i insynuacyi, miotania się opętańcze „Słowa Polskiego“, oraz potężne środki materyalne. Jest przecież wszelka nadzieja, że i tutaj sprawa postępu i wolności świetne odniesie powodzenie, że obaj kandydaci Polskiego Stronnictwa Postępowego znajdą się wśród reprezentacyi polskiej w parlamencie.

— — — — — — — — — — —

W chwili, gdy „Słowo Polskie“, organ „spółki prywatnej“, łamie ręce nad rzekomą klęską narodową, uczciwa myśl obywatelska zanotować musi fakt niezmiernie doniosły dla interesów polskich w Galicyi. Jest nim całkowity pogrom syonistów. Dziwnie dla nich tolerancyjne jest „Słowo Polskie“, tak skłonne do tropienia niebezpieczeństw dla narodu; rzecby można, że dopatruje się w niej żywiołu narodowego. Zaszczytem i zasługą zmiażdżenia partyi syońskiej dzielą się socyaliści i demokraci polscy. Decydującym był wybór w okręgu III., gdzie stawał wódz syonistów, dr. Adolf Stand, przez Rusinów i Breitera poparty, przeciw socyaliście polskiemu, dr. Diamandowi; dr. Diamand otrzymał absolutnej większości z górą tysiąc głosów. Podobnego losu doznał Stand w trzech jeszcze miastach.

Z licznej grupy kandydatów syonistycznych dwóch tylko stanie do ściślejszego głosowania, jeden z jakąś szansą wygranej. Wybory z r. 1907, wykonywane pod okiem wszechpolaków, nie tak wypadły pomyślnie. Cóż stąd? „Słowo Polskie“ nie widzi nic oprócz plam czarnych na firmamencie wyborczym. Żadne zwycięstwo sprawy polskiej plam tych nie wybieli. Pochodzą one z choroby wzroku, której imię: duch prywaty i fakcyi.

— — — — — — — — — — —

Nie obeszły się wybory obecne bez gwałtów i przelewu krwi. Na pierwszy plan wybija się, rzucając cień ponury na cały kraj, okropna łaźnia krwawa w Drohobyczu. Narodowi demokraci rzucili się już łapczywie na krew przelaną, ażeby użytek z niej uczynić w walce przeciw znienawidzonemu obecnie przez nich namiestnikowi. Nie czekając na zbadanie faktu, biją wręcz w osobę dr. Bobrzyńskiego. Na niego spaść ma krew biednych ofiar drohobyckich. Logika tu także sama, jak ta, którą przed trzema laty nabity był browning Siczyńskiego. Oburzenie obłudne: inaczej ważono krew, gdy przelewano ją za poprzednich namiestników. W Drohobyczu toczy się śledztwo. Kraj cały żądać powinien jednym głosem, aby było surowe i bezwzględne, aby przedstawiciele władzy, jeśli winni są, że strzelano bez ostrzeżenia, odrazu do tłumu, wielokrotnie, nawet wtedy, gdy tłum uchodził — nie uszli bezkarnie.

Wierzymy, że w pierwszym rzędzie domagać się będzie tego sam wybrany poseł-demokrata; że wszelkiemi siłami starać się będzie o złagodzenie nieszczęścia i wyjaśnienie rzeczy. Nie wątpimy, że nie chciał on zdobywać ani nie chce dzierżyć mandatu przez krew i trupy. Tradycyjne metody galicyjskie niestety nie znikły — są one nadal hańbą i nieszczęściem naszem. Ale przebudziła się w społeczeństwie świadomość, że te tylko zwycięstwa mają wartość rzetelną, które wywalczono w uczciwej walce. Jakżeż walczyć może we Wiedniu o zlekceważone prawa swego kraju poseł, wybrany przez fałsze i korupcyę, poseł, którego mandatem dysponuje w komisyi weryfikacyjnej rząd, poseł wybrany przez nieboszczyków, przez żandarmów, czy też przez salwy plutonowe piechoty i szarże dragońskie? Przed takiem poparciem rządu bronić się winien obywatel, sięgający po godność poselską, wszelkiemi siłami. Winien to jest godności własnej — nadewszystko zaś godności kraju i narodu.



Dr. JUDYM.

SZKOŁA — A ŻYCIE.

Niemało słyszy się u nas ogólnych utyskiwań na błędy szkolnictwa galicyjskiego, ale mało się o tem pisze, a jeszcze mniej rozważa się poważnie i rzeczowo. Czujemy niedomagania instynktownie, widzimy nieprzystosowanie szkoły galicyjskiej do życia rzeczywistego, równocześnie jednak nie umiemy nazwać rzeczy po imieniu, lękamy się pomyśleć o reformie, chociażby tylko ze stanowiska teoretycznego, gdy reforma praktyczna nie zawsze podobno leży w naszej mocy.

Aby oświetlić sprawę bodaj częściowo, zatrzymamy się nad gimnazyami galicyjskiemi i spróbujemy podnieść kilka kwestyi, które wydadzą się w pierwszej chwili paradoksalne, a będą tylko ujęciem rzeczywistości.

Wyobraźmy sobie, że jakiś przypadek pomieścił gromadkę naszych gimnazyalistów z świeżo upieczonym patentem dojrzałości na jakiejś wysepce Oceanu Spokojnego wśród nietkniętych kulturą europejską barbarzyńskich tubylców. I zapytajcie się szczerze i bez ogródek, czy gromadka nasza potrafi przeszczepić na dziką wysepkę te zdobycze kulturalne, jakie zostawiła w Europie, czy nie znajdzie się raczej nieumiejętna i bezradna, mniej przygotowana do życia, niż barbarzyński tubylec wyspiarski. Nad odpowiedzią nie trzeba się długo zastanawiać.

Młodzieniec, który strawił dwanaście lat na ławie szkolnej, poznał szczegóły wypraw krzyżowych, umie wymienić dyalogi Platona i mowy Cycerona, zdoła wyliczyć wszystkich po kolei książąt babenberskich, nie potrafi rozniecić ognia bez zapałek, nie rozezna pożytecznych roślin i minerałów, nie da sobie rady z przeróbką rudy na żelazo, wełny i lnu na odzież, skóry na obuwie, napróżno będzie łamał głowę nad należytem skonstruowaniem maszyny parowej lub zużytkowaniem elektryczności, — słowem na dalekiej wyspie będzie bezsilną, niedołężną istotą, zależną od łaski i niełaski barbarzyńskich sąsiadów. Wiadomości, zebrane w naszem gimnazyum,

okażą się bańką mydlaną tym, gdzie trzeba umieć sobie poradzić. gdzie trzebaby przeszczepić i zachować istotne zdobycze kulturalne.

Stąd wniosek oczywisty, że gimnazya nasze obarczają młodzież balastem niepożytecznych, iście talmudycznych wiadomości, a nie umieją jej wykształcić na spadkobierców kultury istotnej, zdobytej w trudzie wieków przez geniusz myślącego człowieka. Chcą dać za wiele, niemal wszystko, a dają za mało, niemal nic z tego, co mogłoby naprawdę rozwinąć myślenie, pomnożyć energię twórczą, wykształcić mocny charakter. Wychowują istoty niedołężne, kwiaty cieplarniane, o sztucznej woni i krasie.

Gimnazya nasze puszczają w świat młodzież, nietylko nieprzygotowaną do dzisiejszych warunków życiowych i kulturalnych, nie wychowują jej również na pożytecznych synów narodu.

Nie wystarcza bowiem, że młodzież ta ma na zawołanie szereg frazesów patryotycznych i nosi tak zwane odznaki narodowe na wszystkich częściach ubrania, Odznaki te mają znaczenie czysto dekoracyjne — i jak doświadczenie poucza — nie różnią się w istocie niczem od kolczyków w uszach kobiety lub obrączek w nosie murzyna. Prosimy, aby nas źle nie zrozumiano.

Bo oto zwróćmy się do naszej młodzieży z zapytaniem, jak wielkie są rozmiary ziem polskich, jakie są ich warunki topograficzne, geologiczne, klimatyczne, meteorologiczne, etnograficzne, jakie jest ich ustosunkowanie narodowościowe, wyznaniowe, kulturalne, gospodarcze, jaka jest przypuszczalnie wartość ziemi i kapitału polskiego, ile mniej więcej własności na ziemiach polskich znajduje się w rękach cudzoziemców, jakie są przyczyny i warunki kolonizacyi i emigracyi polskiej i t. d. i t. d. — a zobaczymy zdumiewającą ignorancyę. Proszę przysłuchać się egzaminowi dojrzałości w którémkolwiek z naszych gimnazyów, aby się o tem przekonać. Rezultat będzie gorszy, niż można przypuszczać, bo skądżeż umieć to wszystko mają uczniowie, gdy są to bardzo często tajemnice, zamknięte na siedm pieczęci i dla naszych nauczycieli, którzy znowu tego, co potrzeba, nie nauczyli się na uniwersytecie od swoich profesorów.

Jest w tym kierunku drobny postęp, ale postęp stanowczo za mały. Ta ignorancya w rzeczach najistotniejszych, jakie obowiązują członka danego narodu, odbiera młodzieży możność oryentowania się w najprostszych zagadnieniach życia polskiego. Sprawia ona, że Polska jest dla młodzieży naszej figurą retoryczną, pustym dźwiękiem, poruszającym co najwyżej środki uczuciowe, ale nie jest całokształtem określonych zjawisk życiowych i warunków kulturalnych na terytoryum dawnych ziem polskich.

Czy stan taki jest dobry? Czyż to nie jest abdykacya moralna z najwyższych dóbr, z jakich człowiekowi oświeconemu, przynależnemu do pewnej narodowości, wyzuwać się nie wolno. Powie ktoś: ależ ta młodzież ma serce gorące, czuje dobrze. Jest to okłamywanie samych siebie. Czego nie znam, tego kochać nie mogę, a w najlepszym razie miłość moja będzie małpią, niekrytyczną, nietwórczą, nie będzie zaś rozumną, twórczą i ludzką.

Jużci młodzież wszystkiego wiedzieć nie może, ale wiele rzeczy wiedzieć powinna, w zdolność poznania innych powinna być celowo i umiejętnie wprowadzona. Młodzież ta ma przecież w przyszłości przodować narodowi w pracy kulturalnej, w pomnażaniu moralnego i materyalnego dobrobytu narodowego. Jak stanie się zdolną do tego, gdy brak jej prymitywnych wiadomości? Tem się tłumaczy, dlaczego cudzoziemcy lepiej znają ziemię naszą, niż my sami i eksploatują ją na korzyść własną, przesuwając nas coraz bardziej do roli paryasów na ojczystym zagonie, do roli krzykliwych frazesowiczów haseł zbankrutowanych i nieżywotnych. Życie idzie obok nas, my znać go nie chcemy, ująć nie umiemy, bo na zjawiska jego mamy oczy zasłonięte grubą mgłą ignorancyi.

Z dwu chorób kardynalnych, na które cierpi nasza młodzież, to jest z nieprzystosowania do nowoczesnych warunków kulturalnych i z nieznajomości własnej ziemi, płynie nieuniknienie trzecia choroba, równie groźna, równie złowroga dla przyszłości. Jest nią niezdolność do samodzielności w jakimkolwiek kierunku, przykucie bezkrytyczne do woli cudzej i cudzej myśli.

Na ten brak samodzielności słyszymy nieraz słuszne skargi, zaradzić złemu nie umiemy. Mamy mnóstwo poetów lirycznych i innych literatów o ckliwych przeważnie porywach i natchnieniach, mamy geniuszów bez teki, nie mamy ludzi czynu. Żyjemy w stanie niemowlęctwa, niedojrzałości, podatni do zachwycania się najniedorzeczniejszym frazesem, niezdolni do ruchów samodzielnych, do samokrytycyzmu, do samoobrony. Gdzie źródła twórczości z cudzej i własnej winy na wszystkie kłódki pozamykane, tam innych objawów spodziewać się nie można, tam życie narodowe jełczeć musi, więdnieć i obumierać, tam młodzież w marnych romansikach za młodu, tam starsi w gwiazdkach na kołnierzu i w obchodach zasług jubilatów bez zasługi wszystkie ideały życiowe będą widzieć spełnione.

Jedyna na to rada, konieczna, pilna, niecierpiąca zwłoki — zmienić wychowanie młodzieży, otworzyć źródła życiodajne, przygotować młodzież do dzisiejszych warunków kulturalnych, do dokładnej znajomości dzisiejszych warunków życia narodowego, do samodzielności.

Koroną niedomagań galicyjskiego systemu szkolnego jest brak ideału, brak wiary w jakiekolwiek ukochanie. Ideał przewodni, jakim jest u oświeconych narodów dążenie do wychowania samego siebie, do wychowania w sobie pełnego człowieka, stanowi ów stos pacierzowy, bez którego niepodobna sobie wyobrazić zdrowego organizmu duchowego. Bez takiego ideału, bez stosu pacierzowego, życie duchowe jest tknięte paraliżem w samym zarodku, do wydania żywego płodu duchowego jest niezdolne.

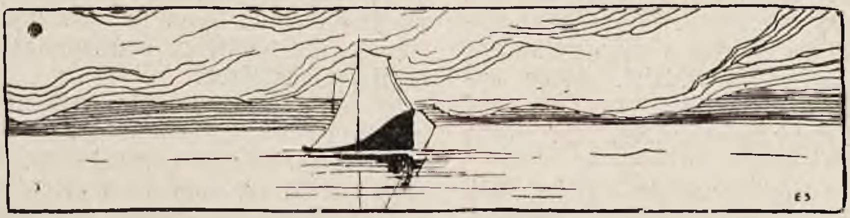
Młodzież gimnazyów galicyjskich wychowuje się bez ideałów, bez busoli duchowej. Rodzicom wydaje się, że za młodu wystarczy inkwizytorska przeważnie opieka katechety, a później w życiu prośba i protekcya. Mści się to strasznie na dalszych losach młodzieży. Porzuciwszy wierzenia lat dziecinnych, nieprzyuczona myśleć samodzielnie, młodzież ta staje się niezdolną do zbudowania sobie własnego świato-

poglądu czy ideału religijnego, zapada w jałowy sceptycyzm, na zewnątrz obłudnie prawowierna, wewnątrz pusta jak orzech zbutwiały. Nie poznawszy dalej własnego narodu, nie umie zrozumieć stosunku swojego do otoczenia, poprzestaje na beztreściwych formach zewnętrznych, nie umie stać się potrzebnem i pożytecznem ogniwem w łańcuchu całości. Niepożyteczna nikomu, niepożyteczna sama sobie, żyje bez celu, bez ideału, z dnia na dzień, dla emerytury.

Stąd faktem jest, choć wydać się może paradoksem, że społeczeństwo galicyjskie jest w gruncie rzeczy w warstwach t. zw. oświeconych niereligijne, w warstwach ludowych zabobonne — w obu nieetyczne. Nie przeczy temu skrupulatne zachowywanie pozorów wyznaniowych, gdy w życiu nie widać żadnego ideału religijnego, a zastępuje go konwenans, szumnie nieraz nazywany wiernością tradycyi narodowej. Jest także faktem, że społeczeństwo nasze jest niepatryotyczne. Boć każdy rozumie, że patryotyzm nie kończy się na obchodach narodowych. Kto patrzy do głębi, ten nie nazwie rozumnie patryotycznem społeczeństwa, w którem grasuje analfabetyzm, zabobon, ciemnota, ubóstwo, tyfus głodowy, w którem wiele się politykuje i deklamuje na sposób wielkiego człowieka do małych interesów, ale nic się nie robi, robić się nie chce i nie umie dla szczęścia ogółu rzeszy narodowej.

Starszych trudno odmienić. Od młodych zacząć należy reformę narodu, od wywarcia nacisku opinii na sejm krajowy i władze szkolne, ażeby tak strasznym niedomaganiom bodaj częściowo usiłowały zaradzić. Dobrze byłoby, gdyby trudnego zadania reformy podjęły się usiłowania prywatne, zakładając wzorowe gimnazyum, któreby wychowywało młodzież na ludzi pełnych, samodzielnych, trzeźwych idealistów, a nie na bezduszne, zabite na duchu manekiny, upośledzone pod każdym względem istoty. Czekają niwy niezorane. Oby zechciały zrozumieć potrzebę reformy czynniki w kraju miarodajne, pomne na słowa Staszica:

„Starajcie się, nie mogąc już duszy nadać tym, którzy się z wami postarzeli, abyście tej duszy nie kazili w młodzieży!.. W młodzieży nadzieja Polski; strzeżmy się, aby nie kazić tej drogiej nadziei!... Nie utrzymujcie bardziej waszej familii, niżeli Rzeczypospolitej!...“



JAN KLECZYŃSKI.

JULEK.

PORTRET WSPÓŁCZESNY. 5)

— Julku, co ci się stało? — pyta Wandzia.

Julek tym razem nie był rad z zamyślenia. Nic nie odpowiedział. Widział, że ojciec jest również bardzo zmieniony, zmęczony, może chory — tak, już się na to oddawna zanosiło..

Ale gdy po obiedzie ojciec wszczął z nim „poważną rozmowę“, Julek nie pokazał tych uczuć po sobie.

— Powiedz mi, co teraz będziesz robił? — pytał ojciec.

Mówił zazwyczaj poważnie, twardym, jednobarwnym głosem, zatrzymując się na każdym przecinku.

— Cóż?.. —

Julek zastanowił się. Chciał powiedzieć: Malować! — chciał to powiedzieć głośno, odważnie. Tymczasem nagle zrozumiał, że to niemożliwe. Jakoś samo wyrwało mu się:

— Zapiszę się na kursy buchalteryjne.

Pan Leonard Bielski spojrzał mu prosto w oczy.

— Dlaczego?

— Tak.. tymczasowo.. Chcę trochę popracować w kantorze, a potem wyjechać do Krakowa, na uniwersytet i..

Julek zaczerwienił się. Gdy ojciec milczał, dodał po chwili:

— Jednocześnie chciałbym systematycznie uczyć się rysunku.

— Bardzo słusznie. Masz talent.

Ta niespodziewana odpowiedź tak zmięszała Julka, że zaniemówił ze wzruszenia.

— Naprawdę? — szepnął, nie śmiąc podnieść wzroku na ojca.

Ojciec roześmiał się dobrotliwie.

— Zdaje się, że naprawdę. Pokazywałem twoje rysunki Chełmońskiemu..

— Tak!!.. a kiedy?

— Niedawno. Nie dowierzałem sobie samemu. Teraz nie możesz chodzić na uniwersytet.. zapewne tymczasowo, bo to może jeszcze da się zrobić.. — naturalnie, że będziesz musiał dużo pracować — to nie może być twojem źródłem utrzymania — —

Zapanowało milczenie. Julek kilka razy otwierał usta, żeby zapytać, co powiedział Chełmoński? ale zanim się zdecydował na to pytanie „nie na miejscu“, pan Bielski znów zabrał głos, mówiąc wciąż powoli, wyraźnie, jakby wykładał:

— Nie rozumiem, po co ci ta buchalterya?

— Nic,. tak.,

— Nie można robić takich projektów, które oddalają od celu. Jeżeli chcesz coś zarobić dla siebie, to możesz dawać korepetycye. Ale żeby przyszły doktór medycyny zajmował się buchalteryą — to jest projekt bez sensu. Może za jakie pół roku potrafię ciebie napowrót wprowadzić na uniwersytet, a w każdym razie znajdę wtedy pieniądze na wyjazd — wydając książkę.. dla szkół galicyjskich.. zresztą życie w Krakowie nie będzie cię wiele kosztowało — ciotka z ciebie nie zedrze a i tam znajdziesz lekcye. Chodzi więc o te kilka miesięcy.

— Ja właśnie chciałem zarobić sobie na wyjazd. Naturalnie, że w Krakowie chodziłbym i na uniwersytet i do Akademii Sztuk Pięknych..

— Nie zarobiłbyś tyle, ile sobie wyobrażasz. Ja ostatecznie nie jestem jeszcze w nędzy. — Musisz teraz trochę odpocząć.

— Eh, nie ma po czem! Nasiedziałem się dosyć! — o jej:

— Nie czujesz się wcale zmęczony?

— Mam straszną ochotę do pracy.

— Bardzo dobrze. Ale nie pojechałbyś wprzódy na jakiś miesiąc do Skibówki, do Stanisławów? — Brat się bardzo ucieszy. On zresztą lubi te wasze teorye. Weźmiesz ze sobą farby.

Julkowi oczy się zaiskrzyły. Ale jednocześnie wstyd mu było tej radości z wyjazdu wobec ojca, którego tak dawno nie widział. Więc odpowiedział z chłodnem uznaniem.

— Aa — to byłoby.. doskonale.. ale chyba nie zaraz..

— Posiedzisz z nami kilka dni i pojedziesz.

Julek chciał znów coś „godnego“ odpowiedzieć, gdy ojciec wstał, bo z jadalni dochodziły odgłosy jakiejś kłótni. Słychać było podniesiony głos matki i śmieszne, piskliwe i basowe naprzemiany, harde odpowiedzi Jasia.

— A ja takiemu bydlęciu nie będę się kłaniać! skrzeczał Jaś.

— Jezus Marya! Chcesz, żeby cię wyrzucili z gimnazyum?

— Niech wyrzucą! A cóż taki drań myśli, że się go boję! Niech spróbuje! Wszystkie zęby mu powybijam! Edek też mu się nigdy nie kłania!

Julek wszedł z ojcem. Jaś ucieszył się bardzo, ale stropił się wobec ojca. Więc naprzód pochylił mu się do ręki, potem patrząc z podziwem na Julka pocałował go z pewną nieśmiałością, i pomimo, że Julek ściskał go zapamiętale, Jaś patrzał na niego z podełba i aż zaniemówił, takie uwielbienie go rozpierało.

— W kozieś siedział — co? śmtał się Julek. Pewnie nie kłaniasz się Chodyrewowi.

— A nie! — odpowiedział Jaś, któremu twarz rozjaśniła się odrazu. — Nie masz pojęcia, co to za świnia.

— Wszystko to bardzo ładne — przerwał pan Bielski — ale nie możesz roku tracić dlatego, że ci się Chodyrew nie podoba. Jaki on jest, to jest, ale wiesz dobrze, że takie są stosunki — na to nic nie można poradzić — Nic ci z tego nie przyjdzie, że mu się nie ukłonisz, a on się potem mści na tobie i daje ci dwójki z ekstemporaliów. Proszę, żeby mi więcej tego nie było.

Jaś wsadził ręce w kieszenie, zerknął na Julka i nic nie odpowiedział.

Julkowi tak się chciało śmiać, że odwrócił się i zaczął rozmowę o czem innem. Wkrótce potem wyszedł na spacer w aleje.

Nie, nie był z siebie zadowolony. Czuł jakieś skrępowanie wewnętrzne, które sam nie wiedział, na czem polegało. Coś tu było niewyraźnie — nie wiedział, czy z jego myślami, czy z uczuciami. Na ulicy znów poczuł odurzenie ze świeżego powietrza, ruchu, hałasu, blasków słonecznych, migotania szyb w oknach, szelestu sukien kobiecych — Ach, tego to już zupełnie nie mógł znieść, gdy z pod sukni wyjrzała łydka w zgrabnym buciku — nie, to było już ponad siły ludzkie, war mu uderzał do głowy, szedł za taką łydeczką, jak pijany.

Potem, gdy zdał sobie sprawę z niemożliwości pewnych idei dla mnóstwa zawsze tych samych przyczyn — „nie znam jej“, „nie mam pieniędzy“ — albo dla takiego rozumowania: jeżeli zaczepię i odrazu zgodzi się — to cóż mi po niej? jeżeli się nie zgodzi — to też, co mi po niej? Wstrzymało go też obrzydzenie silniejsze od wszystkiego.

Ogarniał go coraz bardziej denerwujący niepokój. Coś z głębi duszy przedzierało mu się do świadomości, a on nie wiedział, czy nie chciał wiedzieć, co to było. Aż wreszcie rumieńce wystąpiły mu na twarz i zrozumiał, że to jakaś myśl upokarzająca.

— Po kiego dyabła wspomniałem o tej buchalteryi?

Ale to jeszcze było nie to. A może i to — tylko nie to wyłącznie. Dusił go niesmak. Cóż on takiego właściwie zrobił? Nie mógł sobie przypomnieć,.

— Cóż u dyabła, czy miałem rzucić im się do nóg i przepraszać, żem zrobił demonstracyę?

Ale po tym wybuchu wcale mu nie ulżyło. Może nawet przeciwnie. Myśl w nim pracowała, ale on jakby tego nie wiedział — jakby nie rozumiał, co myśli. I tak odpowiedział tym myślom, które odsuwał we mgłę:

— Przecież nie mogłem im wyraźnie powiedzieć, co czuję.

To znów była nieprawda. Czyżby istotnie pogardzał nimi? Czyżby nie kochał ich? Czy ich miłość nic go nie obchodziła? — Ze zdumieniem widział, że wpadł w jakieś błędne koło. Wszystko to wydało się takie marne — i on sam i oni i to, co on mówił i robił i to, co oni mówili. Zawrzała w nim nieokreślona tęsknota — do czegoś wielkiego, w czem by można odetchnąć pełną piersią. Tak, nic innego, tylko to go tak przygnębiało. Marność, szarość, codzienność a jemu chciałoby się góry walić. Tak,nic tylko to.. Spływała nań z rodzącym się zmrokiem melancholia i nuda. Jednocześnie coś w duszy mu krzyczało — nie! to jeszcze nie to — —

Ale.. tak! trudno porzucić tę myśl — taka piękna!

— Czem jestem?!..,

To pytanie wytrysło jakoś nagle, brutalnie, po chamsku. Uczuł, że to coś bardzo blizko głównej przyczyny jego stanu i powiało nań chłodem przerażenia.

Zmęczony był. Tak, o—o.

Ach, on by tak chciał pomagać ojcu w za-

robkach! On by doprawdy żywą krew swoją ofiarował. żeby mu ulżyć. A że teraz ma utrudnioną karyerę, to z przyczyn świętych, nieodwołalnych. Ojciec chce go wysłać do Krakowa na naukę — za resztkę tych krwawych pieniędzy — co za męka!

Nie, tu niema wątpliwości. To było u niego szczere i głębokie. On się nie lękał pracy zarobkowej — nie — czuł, że pod tym względem był czysty — całą głębią instynktu to czuł — nie — nie, cóż go tak dręczyło — co? A może to było brutalne z jego strony ta buchalterya. Po co on to mówił? — Nie śmieszne — cóż w tem brutalnego, tylko głupie! To nie to.. on nie mógł postąpić inaczej — musiał pójść za głosem duszy, serca, przekonania — a jednak jakby coś brzydkiego popełnił — i względem siebie — kiedy? gdzie?

I znów uczuł, że odsuwa od siebie jakąś myśl niesformułowaną, i że ta myśl powstała w nim dopiero teraz, w domu.

Ten głupi pomysł uczenia się buchalteryi nie wiedzieć czemu bolał go najbardziej — co w tem było upokarzającego?

Jednakże niema wątpliwości, że przecież rysunkami mógłby może więcej zarobić. Posyłałby ilustracye, karykatury. Tylko czy oni w domu uwierzyliby, że on doprawdy tak dobrze rysuje. Ale ojciec mówił, że on ma talent...

Ciężkość na myślach — niepokój rośnie.

Obejrzał się. Był koło Belwederu. Stał wpatrzony w dal, w stronę zachodu, pełnego złota i czerwieni. Powietrze pachniało. Tłum w alejach rzednął. Tramwaje brzęczały dzwonkami.

Przypomniała mu się chwila zamętu. Czuł jeszcze tę bladość na twarzy i tę wzbierającą wściekłość i tę nerwową wbrew woli trwogę, gdy pędzili kozacy, siekli, a tłum z dzikim krzykiem uciekał na wszystkie strony — z wyjątkiem niewielu, co ustępowali spokojnie, gotowi na śmierć,.

Czy on był w ich liczbie?

Może.. Tak, nawet napewno. — Nie chciał haniebnie uciekać.

Strumień ożywczy wszedł mu w żyły, ale tylko na chwilę — i znowu na duszy te mętne, nieznajome chmury i niepokój.

— Pójdę do Wacka — pomyślał niespodzianie.

— Tak, doskonale. Porozmawia z nim, dowie się, co się u nich dzieje — może mu dadzą jaką robotę — jakżeby chciał im się przydać!...

Nie, to ostatnie powinienby pomyśleć inaczej... „im się przydać?“ — nie!:. ach nie, nie dlatego to źle powiedziane, żeby chciał koniecznie być wodzem — nie! — „im“ to znaczy komu? — a on, czy nie taki sam? Coś kryło mu się za myślami, co dotychczas omijał.

Właściwie, to ja sam powinienem bardzo chcieć tego, co oni chcą — — —

Do dyabła. Czyż bym nie dosyć chciał?

Czem jestem?

Przepaść mu się otworzyła pod nogami, a potem nastała w nim pustka.

Machinalnie począł iść ku miastu. Zrozumiał, że musi się zobaczyć z jednym z n i c h.

Ale w tej chwili spostrzegł, że jakieś dwie postacie wstaly z ławki i ruszyły za nim.

Stanął i obejrzał się.

Szpicle.

Zapomniał, że był pod dozorem. Trzebaby iść szybko, wsiąść gdzieś w dorożkę, potem tramwaj, skoczyć w biegu, znów się przesiąść — nie, dziś już nie miał na to energii. A mógłby wsypać Wacka. Jutro tam pójdzie.

Z rezygnacyą siadł na ławie i wpadł w tępe zamyślenie. Senność go ogarniała. Więzienie jednak porządnie go zmordowało...

Wrócił dość późno i położył się spać. Całowano go na dobranoc z taką czułością, a jemu było tak dobrze, tak rozkosznie, nieledwie do łez. Kochał ich wszystkich — czuł się rozmarzonym i jednocześnie przytłoczonym czemś nieokreślonem, dziwnem, zupełnie nieznanem..

Więc zaledwie przelotnie, lecz przyjaźnie uśmiechnął się do Geni, nowej służącej, która mu słała łóżko. Ona również uśmiechnęła się do niego. (C. d. n.)

HENRYK SALZ.

Z POEZYI SERYI IV.

TANTALOS.

Nektarem krwi mej i ambrozyą ducha
karmiłem ludzkość, okradłszy swe bogi —
za to dziś żre mię głód ludzki, głód srogi,
pragnienie gardło pali, a pierś sucha.

Chłodny zdrój, kusząc, srebrem w oczy miga —
nim go tknę usty, w ciemną głąb ucieknie...
Ruch mojej ręki spłoszy i urzeknie
kwitnącą jabłoń, co się wzwyż wciąż dźwiga...

Lecz błogosławion mój głód!
Błogosławione pragnienie!
Słodką mi karmią ZŁUDZENIE —
jam król nad króle niepochwytnych złud — — —

Płoną w ciemnościach me oczy,
jak dwa ogniste rubiny —
męką ku niebu roztoczy
dźwigam piekielne głębiny!

Z EROTYKÓW.

Już późna noc. Komnata moja cicha.
Nas tyle dzieli mil...
Słyszę jak przez sen Twoja pierś oddycha
wspomnieniem kilku chwil...

widzę, jak usta Twoje szept rozchyla —
jam wkradł się w Twoje sny!!
Choć my daleko — moją jest ta chwila
i Ty — i Ty — i Ty! — — —

POGROBOWCOM.

Nikt twojej prośby nigdy nie wysłucha,
i niema żadnej nad tobą potęgi:
w tobie-li moc jest, co płomieniem ducha
pisze twe losy do żywota księgi.

Kto się poniża, poniżonym będzie,
a kto pomocy żąda, jest żebrakiem:
czem zostać umiesz, tem zostaniesz wszędzie,
ptakiem lub gadem, orłem lub ślimakiem.

Znam twoje dzieje, znam twój los tragiczny,
znam ból, co chciałby wyć jak pies — a milczy...
jak bezrozumny jest ten tłum uliczny,
co, kiedy cierpi, ząb wyszczerza wilczy...

Są w twojej duszy otchłanie i głębie,
w których się nawet milczenie pomieści — — —
Na falach uśmiech kołysz — niech gołębie
strasznej ku brzegom nie zanoszą wieści...

Słońce, co fal twych roziskrza powierzchnie,
tęcze na grozę rzuci twego wnętrza...
Uwierz, że blask ten przenigdy nie pierzchnie,
raduj się: radość jest w męce najświętsza...

Czas, byś nauczył się żyć na swym grobie,
ty, coś z umarłej matki się narodził,
coś własną mocą sam się wskrzesił w sobie,
coś z trumny wywiódł byt i oswobodził...

Póki oglądasz słońce, nie upadaj,
a kiedy musisz paść, nie wołaj »ginę!«
nad swem nieszczęściem rozpacznie nie biadaj,
bo opłakiwać wstyd jest — własną winę...

Nikogo nie wiń, jeśliś synem Słońca,
światło się twoje nigdy nie rozprószy;
a gdy przyczyny szukasz swego końca —
znajdziesz ją tylko w swojej własnej duszy...



BRUNON KOSTECKI.

W KOSZARACH ALGERYI.

Jest na świecie kraj wielki i bogaty, który nie ma ściśle określonych, sztucznych granic państwowych. Składają go trzy prowincye, Constantine, Alger i Oran, znane pod ogólną nazwą Algeryi. Zamknięty od północy burzliwem Morzem Śródziemnym gubi się i rozpływa bez kresu w pustynnych piaskach i skałach saharyjskich. Papierowa granica Tunisu, od Berresof do przystani la Calle, nie zdoła się uchwycić w rzeczywistości przez najbardziej bujną wyobraźnię. Egzotyczni i bardzo niestali władcy „Państwa Dalekiego Zachodu“ — Marokka, muszą radzi nie radzi godzić się na odwieczną maksymę silnego sąsiada: co twoje to i moje. Francuscy żandarmi buszują tam równie śmiało, jak na przedmieściach paryskich, i nic, albo prawie nic nie przeszkadza Rzeczypospolitej wciąż wysuwać granicę, później ją zaokrąglać i d a c a p o, rozumie się w interesie „spokoju“ i szczęścia obywateli o trzech barwach. W ostatnich czasach wojska francuskie zajęły już stolicę Marokka Fez, co zniosło do szczętu wszelkie formy iluzorycznych kordonów. Jednem słowem — w Algeryi, owym „bon pays“, znaleść można wszystko, co stanowić może sedno cywilizacyi, za wyjątkiem niewidzialnej, a dotkliwej linii granicznej, której z obu stron pilnował by już zupełnie widzialny i najbardziej dotkliwy żandarm.

O ile na wschodzie i żyznych pobrzeżach morza panują mniej więcej sielskie stosunki między rządem zaborczym i tubylczą ludnością, o tyle zachód i południe przyczynia się bardzo do ciągłych trosk ministeryalnych w Paryżu. Pustynne równiny na południu kraju Constantine i Tunisu są wszakże, gruntownie uspokojone; nikt zresztą nie stara się tam o niepokój ze strony rządu. Natomiast południe Oranu i Marokka oraz nieujęty bliżej teren graniczny tych krajów — stanowią oczko w głowie Rzeczypospolitej i przyjmują na siebie cały ciężar polityki. Czy dlatego, że Marokko jest krajem wielkich naturalnych bogactw, czy też inne kulturalne dążenia kierują rządem Francyi — o tem nie biorę się sądzić, ale dążenia te, na zachód i południe, są bardzo intenzywne, ciągłe i bezwzględne.

Bunty południowych plemion i bezustanne wojny między plemionami w Marokku bodaj czy nie wszystkie dzieją się za sprawą Rzeczypospolitej i innych nieproszonych opiekunów. D i v i d e et i m p e r a. Fanatyczny tłum „świętej wojny“ dał by się zetrzeć w ciągu miesiąca, gdyż wodzowie plemion trzymają się zawsze zdaleka od antyeuropejskich demonstracyi i raczej przeciwdziałają im. Ludzie tyleż religijni, ile mądrzy. Ale gdy dziesiątki plemion ponosi wielkie trudy i straty dla zwalczania kilku innych, lub gdy jedno porywa się przeciw dziesięciu — to już napewno działa tam tajemna ręka polityków paryskich i innych. Dawniej sprawy sporne rozstrzygał fezki Kadi, dziś nikt się o niego nie pyta i rozstrzy-

gnąć pragnie spór starymi lebelami, albo mauzerami z pruskich składów. Na południu bunty wybuchają żywiołowo, częściej jednak są prowokowane. Nie opłaci się długo czekać na bunt, skoro tak czy owak wybuchnąć on musi i musi być stłumionym na długi okres, w ciągu którego sprzeda się wiele towarów francuskich i wybuduje się kilkadziesiąt wiorst linii kolejowej. W sztabie dywizyi w Oranie czekają z utęsknieniem i rokrocznie na rozruchy „harki" arabskiej, gdyż otwierają one pole sławy, orderów i awansów.

Zdaje mi się rzeczą pewną, że paryska Izba deputowanych okazywała by mniej agresywności, gdyby owa nieustanna od wielu lat wojna kolonialna zabierała liczne swoje ofiary z pośród ludu francuskiego. Istny szpital rekonwalescentów w każdych koszarach, depots w Oranie i tysiące zapomnianych mogił na tem olbrzymiem „polu chwały" ostudzić by mogły każdego republikanina, gdyby spodziewał się kiedyś zobaczyć własnych synów pod zwycięzkim sztandarem „Kabylie". Pieniądz jest tańszy od własnej krwi. Więc tworzy się i utrzymuje najemne wojska z tubylców uspokojonych zupełnie, a dla zaoszczędzenia pieniędzy i tutaj nawet — organizuje się „légion étrangere" z wyrzutków i szumowin całego świata, które stanowią najlepszy żołnierski materyał i nic nie kosztują, prócz utrzymania oczywiście.

19-ty korpus armi francuskiej, rozrzucony w koloniach, składa się wyłącznie z wojsk tubylczych i cudzoziemskich. Tylko oficerowie są obywatelami francuskimi, oraz cała prawie artylerya i intendentura korpusu obsługiwaną jest przez rodowitych Francuzów. Nieliczne oddziały szaserów pieszych i innych korpusów rzadko bardzo wydalają się poza spokojny rejon. Można zaobserwować ciekawy fakt, kiedy nagła potrzeba zmusi rząd do zwiększenia armii aktywnej. Wówczas czyta się w dziennikach, że ten i ten batalion pułku wojsk kolonialnych wyprawia się do kolonii z... Paryża lub Marsylii. Dlaczego wojsko „kolonialne" zbija bąki w Paryżu, kiedy w Marokku wojna — dosyć łatwo zrozumieć. Całą lub prawie całą akcyę prowadzi wojsko tubylcze i cudzoziemskie,

Do niedawna nawet na Madagaskarze, w zabójczym klimacie żółtej febry i tyfusu trzymano żołnierzy cudzoziemców. Ponieważ 60% owych „petits soldats" umierało, nie dokończywszy terminu służby, przeto kosztowna ta niesurbodynacya zmusiła rząd do wycofania ich z zachwycającej wyspy słonecznej. W Indochinach, mimo podobnych warunków, do dziś stoi, na zmianę pięcioletnią, jeden batalion légion étrangere, dla trzymania w wiecznym strachu anamickich kompanii strzeleckich, które zresztą zmuszone są do wierności dla swoich najemców, bo ludność miejscowa nienawidzi je gorzej niż dyabła i prześladuje przy każdej sposobności. W lecie 1908 r. tendencyjnie otruto w Tonkinie przeszło trzystu anamitów żołnierzy jednym obiadem. Wprawdzie rząd przeciwdziała śmiertelności wśród legionistów, niewolno im, naprzykład, kąpać się w rzece, ani prać własnej bielizny — co robią najęci chińczycy, i t. d., ale w czasie licznych ekspedycyi nikt tego nie przestrzega. I mrą cicho najmici, nikt nie ujmie się za nimi, bo ojczyzna każdego przestała już być opiekunką lub jest wrogiem. Czasem najemnik niema ojczyzny...

Legia cudzoziemska składa się z dwóch pułków sześciobatalionowych i stanowi drugą brygadę drugiej dywizyi 19-ego korpusu armii francuskiej. Depot piewszego pułku jest w Sidi-Bel-Albesie, drugiego w Saïdzie, obydwa więc znajdują w zachodniej części Oranu. Ale i tam bataliony odpoczywają tylko i kompletują się. Zwykle legioniści rozsypani są w najrozmaitszych formacyach oddziałowych na Saharze i w Maroku. W depot pozostają tylko dwie kompanie stałe, 25 i 26, dla pełnienia pułkowej służby i ćwiczenia rekrutów. Co tydzień, we wtorek rano, przyjeżdża świeża partya zaangażowanych oberwańców i eleganckich „dandy", żołnierzy w cudzoziemskich uniformach i szpakowatych, poważnych obywateli, mówiących różnymi językami, nawet o różnej barwie skóry.

Murzyn, eunuch, zbiegły z Aleksandryi do Tunisu, i maleńki, galaretowaty i żółty Chińczyk-anamita nie należą tu do rzadkości. Spotkać można „ziemianina" w eleganckiem i drogiem ubraniu „sport", z ostrogami i szpicrutą w ręku, jakby dopiero co zsiadł z konia, i eksbogatego „burżuja", dźwigającego na plecach walizę, pełną cennych drobiazgów. Przychodzą bosi i — dosłownie — w jednych tylko białych inekspymablach, przepiwszy wszystko po drodze, i w drogich futrach, których bali się sprzedać lub rzucić w Europie, aby śladów nie było. Nikt ich nie pyta o przeszłość. Trzy pytania czekają wprawdzie na każdego: jak się nazywa, czy służył w wojsku i — śmieszne... czy umie pływać, ale odpowiedzi nikt sprawdzać nigdy nie będzie, ani niema zamiaru. Doktor obejrzał ochotnika już w bureau de recrutement w jakiemś mieście czy miasteczku, dokąd przywlókł się wykolejeniec; w Oranie, w porcie św. Teresy ostrzygli mu głowę; w depot tegoż dnia dadzą mu mundur, czapkę i łóżko, — później karabin, — ot i krótka historya wstępna. Drakoński regulamin, wykonywany z naddatkiem przez władze, i żelazna dyscyplina pochwycą żołnierza jak w sieć; ciężki „prison", karne bataliony i widmo strasznej Kaledonii zduszą w zarodku naturalną żądzę ekscesów awanturnika. Dopiero przed sześciu laty zniesiono karę cielesną: kij w rękach sierżanta. Co kwartał rozlepiają po koszarach ogromne afisze: „Condamnations" sądu wojennego w Oranie. Długą, bardzo długą jest lista skazańców. Batalion dyscyplinarny, travaux forcés lat dziesięć, dwadzieścia, więzienie ciężkie na całe lata drukuje się tłustemi czcionkami. Charakterystyczne, że co drugi nieomal podsądny w rubryce: „za co skazany" ma obok dezercyi, kradzieży, niesubordynacyi lub rozboju — obrazę słowną lub czynną członków sądu wojennego. Biedny sąd! Wyroki śmierci wydaje przeważnie sąd polowy, i te ogłasza się tylko w pułkowym rozkazie.

Więcej, jak połowę wojska cudzoziemskiego stanowią Niemcy, lub udający Niemców. Po za tem jest wielu Alzatczyków, a raczej ludzi podszywających się tradycyjnie pod tę sympatyczną dla Francyi markę francuza-uciekiniera z pod zaboru pruskiego; dalej Hiszpanów, Włochów, Szwajcarów, anglików i t. d. W każdej kompanii znaleść można po paru lub kilku Polaków i Rosyan. Ludzie przeważnie ze sfer inteligenckich. W pierwszym plutonie 22 kompanii 1-ego pułku miałem wśród towarzyszów między innymi — księdza katolickiego, Włocha, aktora z Holandyi, oficera marynarki wojennej angielskiej, Niemca doktora medycyny i t. p., kapralem był były profesor jakiegoś liceum belgijskiego; to wszystko n. b. o ile mogłem przekonać się w długiem codziennem obcowaniu, gdyż niema tam zwyczaju odpowiadać inaczej, jak śmiechem lub finfą w nos, na pytanie o przeszłości każdego.

„De quel pays tu es" — to wszystko, na co odpowie legionista i zawsze prawie skłamie.

Codziennie, z różnych stron świata przychodzą do depot fotografie zbiegłych z pod prawa zbrodniarzy, których „ojczyzna" podejrzewa, że schronili się do légion. Według uznania adjutanta (feldfebla) fotografie te pokazują się żołnierzom na raporcie w celu sprawdzenia, czy jest taki w kompanii, albo idą do archiwum bez żadnych dochodzeń.

Ponieważ zawsze prawie wszystkie bataliony rozsypanę są po za depot, więc niema obawy, że

ktoś ścigany znajdzie się właśnie przy raporcie. Jeśli się nawet zdarzy, — nikt nie śmie go zadenuncyować, ani nie ma ochoty. Widziałem sam fotografię młodego żołnierza, który stał w pobliżu mnie na raporcie, widziała go cała kompania i sierżanci, ale nikt nie wskazał go oficyalnie. Czasem wszakże bywa inaczej. Aresztowano raz przy mnie Niemca ze Szwajcaryi, który zabił matkę, później znów młodego Duńczyka, mordercę własnej żony i dwojga maleńkich dzieci. Na fotografii, która przyszła do pułku, byli uwidocznieni wszyscy czworo: dzieci, chłopczyki cztero- i pięcioletni, były śliczne — i to może wzruszyło kompanię, jak zresztą i mnie samego.

Wskutek niezwykle surowych kar za byle drobne przewinienie, częściej zaś z powodu nudów przy dłuższej służbie garnizonowej — dezercya jest bardzo wielka. Regularnie codzień żandarmi przyprowadzają do depot złapanych przez Arabów dezerterów. Za taki patryotyczny czyn Arab dostaje 25 franków, ale sam boi się łapać, tylko denuncyuje żandarmom. Przykry jest widok skutych żołnierzy, których na sznurze, jak rzeźnik, goni przed sobą „krowa w białych akselbantach".

Ale na polu bitny legionista jest najdzielniejszym żołnierzem. Sebastopol, Magenta, Kabylie, Maroc — złocą się na pięknym sztandarze 1-go pułku, a na szczycie drzewca trzepocze się mała czerwona wstążeczka légion d'honneur. Tylko siedm pułków we Francyi ją posiada. Pracowali na nią pierwsi powstańcy polscy z 30 roku, później inni, mniej warci społecznie, ale równie bohaterscy w boju. Jako fakt, że żołnierz legii kocha się w awanturniczych i wojennych wypadkach, może posłużyć angażowanie ochotników do kompani górskich, compagnies montées. Kompanie te, 4 i 24 w każdym pułku, mają muły dla połowy swoich ludzi i ciągle są w ruchu.

Rzadko kiedy żołnierz z compagnie montée przesłuży swój pięcioletni termin z całą skórą. A przecież kiedy na raporcie pytają się, kto chce iść na skompletowanie „oślarzy" — każda i cała kompania podnosi ręce do góry. Mimo to, że wie się doskonale o podwójnych i potrójnych trudach w tej części aktywnych wojsk. Kiedy chodzi o jaką podobnie bojową ekspedycyę — radość przyjętych niema granic. Cieszą się, jak dzieci zamiejską przechadzką.

Druga brygada drugiej dywizyi składa się z tyralierów, przeważnie Arabów o bardzo ciemnej barwie skóry, ściągniętych z wilgotnych górskich okolic. Są to również dobrzy żołnierze, ale ciemni i tak mało kulturni, że rosyjscy kozacy uralscy wydaliby się przy nich paryżanami. Za to są wierni, jak psy myśliwskie, choć pewnie mniej inteligentni od psów tresowanych. Żaden prawie nie umie ani słowa po francusku, prócz komendy, którą tłómaczą im podoficerzy podobnie inteligentni, ale umiejący kilkaset francuskich zdań z życia wojskowego. Tyralierzy używani są do pełnienia służby policyjno-wojskowej w krajach i miastach świeżo zabranych, oraz rozstrzeliwają skazanych kolegów z całej dywizyi.

Konnicę dywizyjną stanowią spahizi. Jest to śliczna i okazała jazda arabska, na małych, dzielnych koniach, jakby na model wykutych z kamienia. Materyał ludzki nie wiele wyżej stoi od tyralierów, a różni się zewnętrznie jaśniejszą cerą i uniformem, stylowo arabskim, podczas gdy tyralierzy mają mundur francuskiego „fantassin'a" armii aktywnej kolonialnej.

Kraj „bez granic" a zamknięty w sobie więcej, niż każde państwo europejskie, łatwo wpuszcza do siebie Europejczyków na służbę w swojej obronie, ale trudno ich wypuszcza. Wszakże przybrana ojczyzna nie zapomina o weteranach i opiekuje się nimi bardzo dobrze, z kobiecą troskliwością, gdyż akcyę opiekuńczą prowadzi wielka i bogata korporacya „Dames de France".

Nie jest to tylko komedya filantropijna, ale mądra praca polityczna, inicyowana przez mężów członkiń — ministrów i innych wpływowych ludzi. Za krew dają chleb i prawo — i niema się co tem gorszyć — każdy wie, co i dla czego i w jakiej cenie kupić lub sprzedać można. Kupiectwo, które ma choć pozór rycerskości z tej lub owej strony jest sympatyczniejsze, niż bez tego pozoru.

DR. MARYAN KUKIEL.

POLITYKA POLSKA W AUSTRYI.

I.

„Wydarzenia, których świadkami jesteśmy, wojna z Holandyą, wojna o sukcesyę bawarską, wojna z Turcyą, nakoniec ostatnia wojna z Francyą, rujnowały państwo, pochłaniały sumy ogromne i ogołociły kraje z wielkiej ilości ludzi, słowem były nieszczęściem dla ludzkości. Wszystkie przeto spekulacye gabinetowe przyprawiły państwo o straty nieobliczalne bez najmniejszej korzyści. Czyż nie możnaby popróbować raz wojny naraz sprawiedliwej i korzystnej, zdobyć następstwo tronu polskiego, zdobywając prawo do wdzięczności tego narodu? Pozyskanoby przez to państwo, którego posiadanie byłoby tem pewniejszem, ile że tytuł posiadania byłby wyryty głęboko w sercach wolnego narodu. Oto plan, którego przyjęcie doradzam jako Galicyanin i Polak. Znam serca mych współrodaków. Nigdy nie umoczyłem rąk w żadnej kabale, przez którą szedłbym na rękę jednemu z dwóch dworów, które rozdarły Polskę. Pochlebiam sobie i chlubię się z tego, że posiadam ufność insurekcyi polskiej; gdybym miał szczęście dowiedzieć się, że dwór wiedeński jest skłonny przychylić się do tego planu, poświęcę wszystkie me zdolności, wszystek zapał, wszystką ufność, którą cieszyć się mogę u rządu insurekcyjnego, ażeby przygotować działania wstępne. Podejmuję się dokonać dywersyi powstańczych przeciw wrogom mej Ojczyzny i zarazem domu austryackiego, gdzie tylko zajdzie tego potrzeba i wreszcie na ten cel przeznaczam życie moje i całe moje mienie..."

Pisał to dla użytku ministrów wiedeńskich w roku 1794, na krótko przed Maciejowicami, za wiedzą Naczelnika Kościuszki, wybitny obywatel galicyjski, przywódca tutejszych „patryotycznych polityków" w dobie Insurekcyi i trzeciego rozbioru, jeden z najdzielniejszych przedstawicieli rodu, zna-

komicie zasłużonego później w dziejach polskiej polityki w państwie austryackiem — Wiktoryn Waleryan Dzieduszycki. Bardziej zapowiadał on Włodzimierza Dzieduszyckiego, który w r. 1848 jeden z pierwszych dokona uwłaszczenia chłopów w swoich dobrach, aniżeli Wojciecha, trybuna konserwatywnej szlachty podolskiej. Przyjęty duchem oświecenia i tendencyą reformatorską, spiskowiec-dyplomata, w późniejsze lata więzień stanu, uwikłany w sprawy legionowe, w roku 1809 uczestnik rządu francusko-galicyjskiego, mimo wszystkie przecież losu odmiany był on jednym z najpierwszych orędowników oryentacyi politycznej, budującej na fait accompli „rewindykowanej“ Galicyi — wyzwolenie całej ojczyzny. Prawda, przedtem jeszcze nosili się barzanie z myślą powołania Austryi na tron polski. Tutaj jednak przemówił jeden z pierwszych Polaków-Galicyan, z tytułu swego położenia politycznego podejmujących misyę zjednania nowego, obcego rządu dla sprawy „dawnej ojczyzny“, sprawy polskiej.

Austrya przyłożyła w sposób najopłakańszy rękę do unicestwienia Rzpltej; pod wpływem poczucia niemocy własnej i korzenia się przed wszechmocą Katarzyny poświęciła racye polityczne wyższego rzędu zasadom „równoważnych nabytków“ i „słusznego odszkodowania“. Karyera polityczna Dzieduszyckiego skończyła się na razie w aresztach lwowskich i w fortecy ołomunieckiej. Następne braterstwo broni polsko-francuskie i podniesienie sprawy polskiej przez Napoleona stworzyło warunki zgoła nie podatne dla dalszego rozwoju myśli politycznej Waleryana Dzieduszyckiego, Adama Kazimierza Czartoryskiego, Józefa Maksymiliana Ossolińskiego. Wiedeń przejął się nienawiścią i nieufnością ku Polakom, Galicyanie dusili się w jarzmie policyjnem i wyczekiwali wybawienia ze strony Księstwa Warszawskiego, później zaś, za restauracyi, wybiegali nadzieją do wolnego Królestwa z konstytucyjnym monarchą Aleksandrem I. na tronie. Ujawniający się coraz silniej antagonizm austryacko-rosyjski na Bałkanach, którego rozwój przewidzieli doskonale politycy polscy końca XVIII. w., ani nie doprowadził do wojny rosyjsko-austryackiej, ani do zasadniczej zmiany w trybie rządzenia Galicyą. Przyszła rewolucya listopadowa. Nie bez zadowolenia spoglądał Wiedeń na kłopoty potężnego sąsiada, na jego ubezwładnienie, na jego wysiłki i porażki. Przecież nie myślał o wystąpieniu czynnem. Złożyły się na to i przechodząca już w tradycyę niechęć biurokracyi wiedeńskiej ku polskiej „Umsturzpartei“, i legitymistyczna przeciw „jakobinizmowi“ zawziętość i — nadewszystko, wiara w ogrom potęgi rosyjskiej i jej niewątpliwie, całkowite, definitywne zwycięstwo. Daremnie przechodził czyściec upokorzeń w wiedeńskich antyszambrach młody Andrzej Zamoyski; daremnie Konstanty Czartoryski podbijał serce wpływowej Fanny Elssler, aby za jej pośrednictwem trafić z rulonami złota do kieszeni Gentza i Metternicha; daremnie składali Chłopicki i Skrzynecki przyszłość ojczyzny u stóp rycerskiego arcyksięcia Karola. „Gdyby na nieszczęście powstanie wasze udało się — mówił Metternich do Zamoyskiego — byłoby to dla Europy zarazą, tryumfem karbonaryzmu, robaka toczącego obecnie wszystkie państwa“. Konsul zaś austryacki Oechsner pisał szczerzej i bardziej realistycznie: „Polska jest to wielce powabna panna, tylko na wyprawienie jej posagu wiele trzeba nakładu i wygranie procesu nie pewne, bo w niebezpiecznym ręku pozostaje“. Prosta demonstracya sześćdziesięciotysięcznej armii austryackiej na granicy Wołynia i Podola, jedyna rzecz, o którą błagał Skrzynecki „przywróciłaby pokój, porządek, sprawiedliwość, pomogłaby do wybicia się na wolność Polce“; Skrzynecki, jak ongi Dzieduszycki, wskazywał Austryi drogę nabycia „w sercach polskich wieczystych tytułów do wdzięczności“. I te przedstawienia były daremne. W miejsce ocalenia Polski, przyszły katusze więzienne patryotów, niemiłosierna tyrania policyjna, rzeź lutowa. W miejsce „tytułów do wdzięczności“ zebrało się morze całe krwi i łez, nienawiści i krzywdy.

A przecież tak potężną jest wewnętrzna logika dziejów, że zbrodnicze błędy, popełnione przez rząd wiedeński, nie wyrwały raz na zawsze z mózgów patryotów polskich myśli o podźwignięciu Polski w związku z Austryą i przez Austryę. Gdy tylko dzień 13 marca 1848 r. wyzwolił w państwie Habsburgów myśl ujarzmioną, ujarzmione słowo, gdy dnia 18 marca porwał się Lwów do manifestacyi dążeń narodowych, odżyła dawna owa myśl zapomnianego spiskowca-patryoty w młodzieńczym wodzu demokracyi polskiej, Franciszku Smolce. Adres, przez deputacyę galicyjską powieziony do cesarza, przeniknięty był myślą o powstaniu polskiem. Galicya z własnym sejmem, własnym rządem, własną siłą zbrojną, stanowić miała naraz dla odmłodzonego państwa Habsburgów przedszaniec od północy i środek ciążenia dla wszystkich mieszkańców byłej Rzpltej. Stworzenie z Polski austryackiej trzeciego, obok Węgier i Austryi niemieckiej samoistnego państwa, związanego z tamtemi osobą monarchy, cesarza-króla, kojarzyło się najściślej z myślą o podźwignięciu Polski „w danych granicach“, o odbudowaniu Rzpltej polsko-litewsko-ruskiej w wojnie z Rosyą, a sojuszu z Austryą.

Upadła na razie myśl federacyjna, jak upadł cały gmach wolności politycznej i narodowej, dźwignięty naraz z tak bohaterską odwagą, z tak potężnym rozmachem. Armie Windischgraetza i Hainaua i sprzymierzone wojska Paszkiewicza, wypłacające starej Austryi dług wdzięczności za neutralność z r. 1831, odniosły tryumf nad wielkiemi marzeniami wielkiego roku. Ale „lata i wielki co przyjdą, żyć będą ziaren tych treścią“. Niejedno z nich plon już wydało obfity. Innne czekają na czas sposobny, aby pędy bujne wypuścić. Do tych ostatnich należy dzisiaj jeszcze wielka myśl polityczna Franciszka Smolki.

BITWA WIEDEŃSKA.

Klęska, jaką chrześcijańsko — socyalni ponieśli w dniu 13. czerwca br. była przewidywana, lecz nie oczekiwana.

Rozprężenie w łonie stronnictwa z chwilą zgonu Luegera, stawało się z dniem każdym tak wielkie, że o jakimś dalszym pochodzie tryumfalnym nie było mowy. Spory i niesnaski między dyadochami pogłębiały się coraz znaczniej, maskowane grą intrygancką. Dwa naczelne organy stronnictwa »Deutsches Volksblatt« i »Reichspost«, wiodły ze sobą kampanię zaciętą, nie żałując wzajemnych zarzutów geszefciarstwa i korupcyi. Na czele stronnictwa stał nominalnie książę Alojzy Lichtenstein, ale rządy faktyczne sprawował dr. Gessmann, zwany: »Exzellenz San ma ehrlich«. Frant szczwany i kalkulator przezorny jedno tylko palnął głupstwo. Nie umiał »pozyskać« sobie Verganiego, wydawcę »Deutsches Volksblattu«. Cesarski radca Vergani, ziółko w swoim rodzaju jakich mało, zrobił na antysemityzmie złoty interes, nie dopuszczony dla wielu nieprzyzwoitości finansowych do dostojeństw w stronnictwie, milczał gnieciony autorytetem Luegera i żerował pokątnie. Ze śmiercią burmistrza nabrał otuchy i jął swobodnie denuncyować przed opinią publiczną tych wszystkich negocyantów, dla których polityka stała się krową dojną, a którzy nie chcieli go dopuścić do udziału w zyskach.

Przedewszystkiem wziął na kieł Gessmanna i wszystkich zaufanych tegoż powierników. Jeden po drugim z przewódców chrześcijańsko-socyalnych stawał, dzięki mściwości Verganiego, nago, odarty z ideowości pozornej. Ogół przekonywał się kolejno, że każdy niemal ukochany i popularny sztabowiec antysemicki, używał stanowiska i wpływów dla osobistego wzbogacenia. Urok dotychczasowy pryskał, rozczarowanie opanowywało kręgi coraz dalsze. Po dzielnicach miejskich potworzyły się grupy i koterye wzajem się krytykujące i zwalczające; jednostki, którym jeszcze niczego nie dowiedziono, wdziawszy togę Katona, ustawiały się na koturnie uczciwości i poniewierały przestępcami.

Zakotłowało w obozowisku partyjnem od wzajemnej walki podjazdowej, a zewsząd runęły znaki i wróżby zbliżającego się upadku.

Przewidywanie, że wybory do Rady państwa będą pierwszym symptomem rozkładu wewnętrznego, było powszechne — nie oczekiwano wszakże, aby to pierwsze stajanie w drodze powrotnej już klęską stać się miało decydującą.

A przecież wynik wyborów z 13-go czerwca, był w rzeczy samej klęską dojmującą i znamienną.

Należy znać duszę niemiecką i całe jej przywiązanie do autorytetu. Całą swą doniosłość polityczną Niemcy zawdzięczają pędowi stadnemu. Grupują się zawsze wedle pewnych znaków uosobionych. Schoenerowcy, wolfowcy, luegeryanie, gessmanici. Lubują się w programach, ale program ten musi mieć imię i nazwisko, rangę i konduitę. Są indywidualistami, bo żyją indywidualizmem swych przewódców...

Łacno więc pojąć wrażenie wywołane wieścią, że dotychczasowi niezwyciężeni podkomendni Luegera, zaraz w pierwszej potyczce rozegranej bez dawnego wodza sromotnie tył podali. Przewidywano, że ten lub ów podrzędny kandydat chrześciańsko-socyalny padnie lub w wyborze ściślejszym czekać będzie zmiłowania kompromisów. Lecz przewidywania wszystkie okazały się niedokrewnemi.

Książę Lichtenstein (trza słyszeć Wiedeńczyka wymawiającego to słowo »furscht Lieechtenstein«, aby odczuć grozę), minister handlu Weisskirchner, b. minister Gessmann, burmistrz Neumayer, a za nimi rozmaici dostojnicy partyjni, w stu walkach wyborczych otyli i zbogaceni przewódcy, wysadzeni ze siodła i w proch rzuceni, oczekują, czy fortel kompromisowy zapoczątkowany przez Bienertha, nie przyniesie im w jałmużnie mandatu przy wyborach ściślejszych.

Fatum sprawiedliwe i rychliwe.

Mimo deklaracyi programowych, jakie za przykładem Luegera powtarzano przez lat dwadzieścia, stronnictwu chrześciańsko-społecznemu umiera się na brak programu. Sen o stworzeniu wszechpaństwowej organizacyi partyjnej rozbił się o trzeźwość życiową, która uniemożliwia jednemu i temu samemu stronnictwu na dłuższą metę obronę interesów rolniczych na równi z interesami miasta. Lueger należał do tych rzadkich wybrańców, których czysto osobiste przymioty agitatorskie potrafią na pewien czas prawdę przysłonić paradoksem. Gdy wpływu takiego osobistego zabraknie, złudzenie pryska, a zamek zbudowany na lodzie, tonie pozbawiony krzepkiej podwaliny.

Korupcya w łonie spadkobierców Luegera proces ten przyspieszyła, ale nie spowodowała go wyłącznie. Wiedeńczyk byłby może wybaczył jeszcze Gessmannowi jego grynderstwa bankowe, gdyby nie wiedział, że winien mu przypisać obojętność na drożyznę panującą, na wszelkie potrzeby wielkomiejskie. Rozmiłowany w swej wszechpaństwowej konstrukcyi partyjnej, Gessmann z Weisskirchnerem i Liechtensteinem dbał głównie o interesy agrarne, bo przeważny kontyngent stronnictwa stanowią posłowie wiejscy. Taka dwulicowość zabija.

To też bez względu na wynik rokowań, bez względu na ostateczną liczbę mandatów chrześciańsko-socyalnych, fakt sam, że żaden z przewódców partyjnych nie wyszedł z walki wyborczej cało, nie zdobył dla »programu« bezpośredniej większości, oddziała destrukcyjnie na klub i jego dalszą politykę parlamentarną. Stronnictwo chrześciańsko - społeczne popadło w stan rozkładu; z nim razem zniknie jeden z wielkich humbugów politycznych Austryi.

Wiedeń, d. 14 czerwca.

---

*) W chwili, gdy ten artykuł był już wydrukowany, przyszły wiadomości o rezultatach wtorkowych wyborów ściślejszych we Wiedniu. Partya chrześcijańsko-społeczna zdruzgotana! Z 25 mandatów w samej stolicy dotąd posiadanych 18 stracono na rzecz socyalistów i mieszczańskich grup liberalnych. Wiedeń ma reprezentacyę o większości socyalistycznej (na 33 mandatów — 19) Minister Weisskirchner powalony w obu okręgach, powalony hetman stronnictwa ks. Liechtenstein, padł burmistrz Neumayer, padł b. minister Wittek, a w jednym z okręgów dolno-austryackich padł b. minister Gessmann, głowa właściwa partyi. Z pierwszego miejsca w parlamencie klub chrześcijańsko-społeczny zepchnięty będzie na czwarte lub piąte — i to jako stado bez głowy, bez myśli kierowniczej, bez przyszłości. W umysłach ludu niemieckiego — przyznają to gazety urzędowe — dokonała się rewolucya o nieobliczalnej doniosłości. Minister Weisskirchner wniósł dymisyę. *Redakcya.*

Z PRASY POLSKIEJ.

SUKCES WYBORCZY POLSKIEGO STRONNICTWA POSTĘPOWEGO.

Pierwszę zwycięstwo wyborcze młodego stronnictwa znalazło silny oddźwięk w prasie wszystkich obozów. Notujemy szereg znamiennych uwag o rezultatach wyborów w I. i V. okręgu m. Lwowa.

Nasampierw „Kuryer Lwowski“:

„Ogromną słabość odsłoniła (w I. okr.) grupa mieszczańskiej „strzelnicy“, dostarczywszy swemu kandydatowi (prof. Roszkowskiemu) tylko 486 głosów. O wiele przewyższył kandydata „strzelnicy“ kandydat katolicko-narodowy, który podobno zawdzięcza względne powodzenie w znacznej części głosom żydowskim. Lecz w tym okręgu, należącym według zakulisowych układów do dyspozycyi mieszczan strzelnicowych, opozycya w osobie kandydata p. Śliwińskiego, skupiła stosunkowo najwięcej głosów. Gdyby Rusini nie stawiali swego kandydata przeciw p. Śliwińskiemu, byłby on już w pierwszem głosowaniu zwyciężył. Można powiedzieć, że ruscy wyborcy zatrzymali p. Śliwińskiego u samej mety wyborczej, a fakt ten dla bezstronności należy podkreślić wobec pogłosek tendencyjnych o sojuszu rzekomym demokracyi postępowej z Rusinami i żydami. P. Śliwińskiego przy pierwszem głosowaniu zawiedli i Rusini i Żydzi.

W każdym razie p. Śliwiński przychodzi do ściślejszego głosowania z dr. Rydygierem, a są wszelkie widoki, że tym razem mandat bez wielkich trudności uzyska.

Demokracya postępowa może się poszczycić także wyborem drugiego przywódcy, p. Lisiewicza, a to pierwsze powodzenie nowego stronnictwa na szerokiej arenie publicznej zwraca na nie uwagę powszechną i daje mu nadzieję dalszego rozrostu“.

„Gazeta wieczorna“, pomimo upadku w I okr. jej kandydata, odnosi się do nowej formacyi demokratycznej w sposób wysoce lojalny:

„Wybór w okręgu V. dowodzi, że zdolności i osobiste, ujmujące warunki kandydata odgrywają wielką rolę. Jeżeli uwzględnimy kolosalną agitacyę narodowych demokratów, jeżeli uwzględnimy, że okręg V. przeważnie zamieszkuje inteligencya, przekonamy się, jak wielką jest tutaj klęska narodowej demokracyi. Demokracya polska, której lewe skrzydło zyskuje w dr. Lisiewiczu dzielnego posła, odniosła w okręgu V. ogromny sukces, wykazujący jej żywotność i siłę“.

Niezależny „Wiek Nowy“ wita z zapałem pomyślne wyniki piewszego starcia w obu okręgach postępowych:

„Kto widział z bliska walkę o te dwa mandaty, kto miał sposobność przyjrzeć się niegodziwym środkom, jakich chwytano się dla obalenia tych prawdziwie demokratycznych kandydatów — zrozumie w całej pełni doniosłość tego niezmiernie trudnego, ale równie chlubnego zwycięstwa.

„Ci dwaj kandydaci mogą śmiało powiedzieć o sobie, że oświadczyła się za nimi istotna wola ludu, a przeto będą tego ludu istotnymi, a nie narzuconymi przedstawicielami. Znając obu z dotychczasowej ich obywatelskiej działalności, jesteśmy przekonani, że o tem nie zapomną i że będą też na nowym posterunku dzielnymi rzecznikami praw i interesów tego ludu, przedstawicielami najświetniejszej tradycyi polskiej demokracyi i ogólno-ludzkiego postępu ku wyżynom.

„Ale także stronnictwo, które ich wysłało na te zaszczytne posterunki, nie powinno zapominać, że będą oni mogli spełnić swoją rolę należycie tylko w takim wypadku, jeżeli będą czuli za sobą siłę wzorowej, karnej, świadomej celów i dróg organizacyi. Polskie stronnictwo postępowe, zdobywające w kraju coraz liczniejszych zwolenników, stara się — o ile nam wiadomo — o rozszerzenie i umocnienie swej sieci organizacyjnej.

„Życzyć mu należy powodzenia w tej pracy, albowiem ma ono do odegrania w dziejach naszego odrodzenia poważną rolę i śmiało może, a nawet powinno uważać się za stronnictwo przyszłość“.

Centralny organ P. P. S. D., „Naprzód“ krakowski, wita sympatycznie charakterystyczny fakt „zwycięstwa dwóch radykałów polskich“. „Głos“, podnosi znaczenie utraty przez wszechpolaków mandatu „na rzecz młodego stronnictwa, które wywiesiło śmiało sztandary postępu i nie lęka się narodowej anatemy za sojusz z socyalną demokracyą“.

Organ „strzelnicy“, „Dziennik Polski“, rzucając się nienawistnie na H. Śliwińskiego, godzi się z „faktem dokonanym“ odnośnie do V. okręgu, uznając, że dr. Lisiewicz „wszedłszy do Koła Polskiego będzie się starał stać się użytecznym“.

O „destrukcyjnej działalności“ i „niemal demagogii“ gawędzi „Gazeta Narodowa“.

„Słowo Polskie“ rozdziera szaty i ręce łamie:

„Już ten fakt, że w Krakowie przechodzi jeden socyalista w pierwszem zaraz głosowaniu, a drugi przychodzi do ściślejszych wyborów, jest aż nadto wymowny. I stoi on w jednym rzędzie z faktem równie niepokojącym, że w V. okręgu lwowskim wychodzi kandydat niby „postępowy“, w rzeczywistości przeforsowany przez socyalistów. Miał on wprawdzie ułatwioną sobie bardzo walkę przez chorobę dr. Tomaszewskiego, który nie mógł żadnej prawie za sobą rozwinąć agitacyi. Sama jednak ilość głosów, którą uzyskał dr. Lisiewicz, jawnie kokietujący z socyalistami i z ukraińcami, jest mocno niepokojącym objawem.

„Osłabła odporność naszego narodowego organizmu. I jakże nie miała osłabnąć, gdy od lat trzech władza namiestnikowska w kraju, dając pełną swobodę rozwoju i działania wszystkim prądom najskrajniejszej demagogii, ściga zawzięcie na każdem polu życia publicznego niezależną myśl narodową“.

„Czas“ pisze o zradykalizowaniu Lwowa i wini demokracyę narodową, że grunt przygotowała pod zejście nowego stronnictwa i jego pierwsze sukcesy.

„Przed rokiem jeszcze była to tylko grupa ludzi niezadowolonych z istniejącego porządku i szukających dla siebie ujścia, brużdżąca co najwyżej na ratuszu, dziś zaś jest zorganizowanem stronnictwem politycznem, mającem już jednego posła parlamentarnego, a drugiego blizkiego poselstwa. Powodzenie przyciąga jak magnes, i ci nowi postępowcy, którzy na swoim programie wypisywali nietylko czteroprzymiotnikowe prawo głosowania do sejmu i wszystkich ciał samorządnych, ale i upolitycznienie kobiety i wszystkie postulaty, jakie podnoszą postępowcy wiedeńscy, więc rozwody, wolne szkoły, i tam dalej, aż do rozdziału Kościoła od państwa, poczną coraz bardziej wypierać narodową demokracyę i jej miejsce zajmować, a tylko dlatego, że narodowa demokracya sama dla nich grunt przygotowała. To zaś będzie wielką szkodą dla społeczeństwa“.

Ciekawiście, Szanowni Czytelnicy, co sądzi o tem wszystkiem ultramontański „Przegląd“ p. Masłowskiego? Dowiedzcie się zatem, że nie sądzi nic zgoła. Dla niego wszechpolak, czy postępowiec, demokrata czy socyalista są zarówno reprezentantami „najskrajniejszej demagogii“ i „trującym miazmatem“. Wobec tego powyborczy numer „Przeglądu“ traktuje z materyi politycznych wyłącznie sprawę niezmiernie aktualną i doniosłą — „uroczystości koronacyjnych w Londynie“.



SILVA RERUM.

DRUGI DZIEŃ WYBORÓW W GALICYI ZACHODNIEJ. Szereg doniosłych zmian i niespodzianek. Dalsze porażki wszechpolaków. Definitywny upadek skompromitowanego w sprawie koncesyi szynkarskich eksposła Wiącka. Wybór Ptasia zdecyduje się dopiero w ściślejszem głosowaniu. Słowem nie zdobyli narodowi demokraci ani jednego mandatu! Pogrom Stojałowczyków. Sam „ksiądz-redaktor“ w obu okręgach przepadł z kretesem. Z pośród jego wiernych Stohandel i Fijak przechodzą do ściślejszego wyboru — bez nadziei.

W Krakowie dr. Doboszyński przypłacił „dobre interesa“ finansowe z markizem de Boishébert etc. sromotną klęską. Opinia publiczna odprawiła nad nim samosąd. Wybrany przeważnie głosami inteligencyi człowiek nieposzlakowany, dr. Marek. Upadek zatem dra Kunickiego na Śląsku (przeciw drowi Michejdzie) powetowany został w sposób świetny. Dotąd wybrano 7 socyalistów polskich (Daszyński, Klemensiewicz, Reger, Diamand, Hudec, Liebermann, Marek); wybrany będzie ósmy — Moraczewski w Stryju (może także Żuławski w Chrzanowskiem).

Ludowcy zdobyli kilka mandatów. Wybrany między innymi prawie jednogłośnie Włodzimierz Tetmajer; wybrany będzie napewno Andrzej Kędzior. Zadatek odrodzenia klubu ludowców w parlamencie!

Nowe Koło Polskie mniej będzie miało może demokratów z imienia, niż poprzednio; poważniejszą siłę posiędą konserwatyści. Ale oczyszczone będzie z wielu szumowin, wzbogacone szeregiem ludzi zdolnych i politycznie wyrobionych. Wybory zachodnio-galicyjskie z d. 21. bm. były dalszym krokiem do uzdrowienia naszego sumienia zbiorowego i naszej świadomości politycznej.

KTO WINIEN? W popołudniowem „Słowie Polskiem“ z d. 20 czerwca r. 1911 czytamy:

„Dwukrotny wybór Daszyńskiego, dwukrotny wybór Breitra, kilkanaście trupów w Drohobyczu, krew przelana w Samborze, osłabienie powagi Rady Narodowej, wbrew której uchwałom władze rządowe jawnie popierały samozwańczych kandydatów (Sokal!), niezliczone nadużycia wyborcze w całym kraju — oto dotychczasowy bilans polityki partyjnych rządów dr. Bobrzyńskiego“.

Dwukrotny wybór Daszyńskiego? Winien Bobrzyński. Dwukrotny wybór Breitra? Winien Bobrzyński!... Kilkanaście trupów? Winien Bobrzyński!... Osłabienie powagi Rady Narodowej? Winien Bobrzyński! Niezliczone nadużycia? Winien Bobrzyński! „Słowo Polskie“ postradało zdrowe zmysły? Winien Bobrzyński!

Daszyńskiego wybrała potężna wola wyborców, wbrew wszelkim wpływom z góry. O tem wie „Słowo Polskie“. Breitera wyniosła ciemna masa żydowska i dziwna zaiste siła jego demagogii wbrew szalonym wysiłkom namiestnika — i o tem wie „Słowo Polskie“. Że w Drohobyczu t. zw „spitzmanowcy“ wraz ze syonistami wywołali małą rewolucyę, demolując lokale wyborcze, że atakami na wojsko rzeź została sprowokowana — i o tem wie „Słowo Polskie“. Że Rada Narodowa postradała powagę nie z powodu wyborów sokalskich — i o tem wie „Słowo Polskie“. Że korupcyą, masowem kupowaniem głosów, głosowaniem „umrzyków“ i tłumu „hyen“ ocalone zostały mandaty Buzka, Głąbińskiego, Galla, że dzięki tymże nadużyciom wyjdzie Skarbek, że nieinaczej walczyli Tomaszewski i Chlamtacz — o tem najlepiej wie „Słowo Polskie“.

Dobrze się stało, że poseł Daszyński zdobył mandat, wyrwany mu przed czterema laty przez korupcyę i szalbierstwo — któż jednak dopomagał do ośmieszenia biednego, zmarłego świeżo kontrkandydata, jeśli nie „Słowo Polskie“?

Źle się stało, że wyszedł dwukrotnie poseł Breiter — któż jednak całą żółć wysilił dla zdyskredytowania pp. Battaglii i Golda, jeśli nie „Słowo Polskie“? Któż posiał rozdwojenie między wyborców polskich w Złoczowie, jeśli nie „Słowo Polskie“? Marnie jest z „Radą Narodową“ któż jednak wbrew jej uchwale postawił w Złoczowie, w zagrożonym okręgu, na pożytek Breitera, buntowniczą kandydaturę Srokowskiego i wbrew kłamliwym rezygnacyom kandydaturę tę podtrzymał — jeśli nie ludzie ze spółki, która wydaje „Słowo Polskie“? Któż narzucił „Radzie Narodowej“ kandydaturę marnej hyeny wyborczej, Ornsteina, który jako kandydat narodowy skupił aż... 65 głosów na 5500 głosujących, skupionych zaś poprzednio za gotówkę narodową 700 legitymacyi sprzedał syoniście... Czyliż nie „Słowo Polskie“?

Z niezrównanym, rozpaczliwym humorem pisze szanowny organ spółki prywatnej:

„Bolesny jest fakt, że Breiter przeszedł wczoraj w dwóch naraz okręgach. Ale dr. Bobrzyński pocieszy się, że upadek forsowanych przezeń ostentacyjnie dra Battaglii i dra Golda powetował sobie wyborem dra Stesłowicza, który żadnych szans nie miał, a przecież starostowie go wybrali“.

Żadnych szans nie miał — a przecież starostowie go wybrali... Wiemy, czem są wybory starościńskie. Jakież to jednak okropności dziać się musiały w Samborze i Gródku, aby przeciw p. Skarbkowi, który niedawno otrzymał mandat przez (delikatnie mówiąc) podstępne złamanie słowa

honoru, przeprowadzić wybór człowieka uczciwego, zasłużonego pracownika, demokraty p. Stesłowicza i to wybór zapomocą 4167 głosów na 6320 głosujących!

Gniewają się również pp. ze „Słowa Polskiego“ na p. namiestnika o V. okręg lwowski. Czyżby wybrany tam poseł postępowy miał poparcie namiestnikowskie? Tego nawet p Grabski twierdzić nie śmie. Wiemy jednak, że na zgromadzeniu przedwyborczem w sali kasynowej dnia 12. bm. pan ten uderzał na namiestnika za to, że ten zostawia w V. okręgu radykałowi — wolną rękę. Winą zatem p. Bobrzyńskiego było, że w okręgu V. nie było ze strony władz presyi, ani gwałtów! Bo presyi i gwałtów potrzebował p. Grabski przeciw swoim przeciwnikom politycznym. Tego poparcia zabrakło jego stronnictwu. Stąd gniewy jego i klęski.

W ROLI POLICYI. W przeddzień wyborów lwowskich, w artykule wstępnym p. t. „Trujące miazmaty“, bryznęło „Słowo Polskie“ po raz ostatni śliną jadowitą na postępowy i socyalistyczny obóz polski. Czepia się między innymi paru zwrotów ważnej broszury politycznej Ludwika Kulczyckiego p. t. „Bankructwo narodowej demokracyi“, gdzie zwrócono uwagę, iż antiwszechpolska polityka namiestnika wiąże się z niedawnym kursem neosłowiańskim endecyi i z podatnością tego stronnictwa dla „wpływów dla państwa austryackiego szkodliwych“. Objektywne to stwierdzenie niewątpliwego faktu wydziera politykowi endeckiemu patetyczny frazes: „Panowie Feldman i Kulczycki występują jako obrońcy państwa austryackiego, a zatem elementy rewolucyjne chciałyby odegrać rolę policyi. Zapominają jednak, że dzisiaj policya ma bardziej poważne zadanie, niż tropienie myśli politycznej“...

Kochani panowie, nie tylko Feldman i Kulczycki, ale także każdy rozumnie myślący patryota z pełną odwagą i pełnem poczuciem, że sprawie polskiej służy, bronić będzie państwa austryackiego przed taką myślą polityczną, która u was wyrażała się w budzeniu sympatyi panslawistycznych, owacyjnem przyjmowaniem Bobrinskiego i Kramarza; która u waszego „brata“ Stojałowskiego wyrażała się w propagandzie jedności kościelnej z prawosławiem, a jedności państwowej wszechsłowiańskiej z Rosyą; która wreszcie wczoraj i dzisiaj wyraża się u was w protekcyi, udzielanej moskalofilstwu ruskiemu. Austrya jest nam potrzebna, jako ludziom Europy, bo jest najbardziej wysuniętą ku wschodowi twierdzą swobód obywatelskich, praw ludowych, postępu społecznego; jest nam potrzebna, jako Polakom, bo daje nam możność stwarzania fundamentu pod gmach odbudowanej ojczyzny. To też „myśli polityczne“ Dmowskich et consortes demaskować będziemy przed opinią narodu, jako mimowolną robotę pour le tsar de Russie. Tę służbę „policyjną“ winniśmy pełnić w stosunku do myśli politycznej polskiej.

Wam, szanowni panowie, nie obcą jest inna służba. Groziliście w r. 1904 piórem Komerskiego, że „społeczeństwo polskie“, które, jak wiadomo, zwykliście ze sobą utożsamiać, ucieknie się pod opiekę policyi rosyjskiej przeciw rewolucyonistom polskim. W r. 1906 denuncyowaliście odbywające się w Galicyi zjazdy rewolucyonistów polskich, denuncyowaliście idące tędy transporty broni, w artykule „Groźne objawy“ denuncyowaliście nawet pobłażliwość władz austryackich. Czy nie byliście wtedy policyą, która „tropiła myśl polityczną“ realizującą się w czynie? A choć nie będziemy twierdzić, że byliście „obrońcami państwa rosyjskiego“, żeście chcieli „odegrać rolę policyi“ — przecież przypominamy wam ofertę, którą Dmowski złożył Wittemu: że rękami polskiemi zdławi rewolucyę w kraju. Radzimy przeto nie wymawiać słowa: policya.

On ne parle pas de corde dans la maison d'un pendu...

Z KATECHIZMU DZIENNIKARZA WSZECHPOLSKIEGO. Czem przywitali zwolennicy p. Lisiewicza ogłoszenie jego wyboru? — Śpiewem „Czerwonego sztandaru“. — Co było przy tem rzeczą charakterystyczną? Że śpiewali także „Szcze ne wmerła Ukraina“.

„Zwolennicy“ ci, na nieszczęście bezimienni, mogliby zamieścić w „Słowie Polskiem“ sprostowanie na podstawie 19. par., że 1-mo nie śpiewali wcale, 2-do nie śpiewali „Czerwonego Sztandaru“, 3-tio nie śpiewali „Szcze ne wmerła“... Dodać należy, że jeśli „Czerwony Sztandar“ śmiało mógł zabrzmieć z piersi setek wyborców socyalistycznych, którzy postępowcowi polskiemu głosy swe oddali, to „Szcze ne wmerła“... mogłoby chyba być śpiewane ku uczczeniu niedorzecznej kandydatury p. Czornego, wysuniętej przez nacyonalistów ruskich Wiemy zresztą, że wielu moskalofilów oddało swe głosy p. Tomaszewskiemu. Katechizm dziennikarski „Słowa Polskiego“ nakazywałby napisać, że wyborcy tego pana, zmartwieni jego upadkiem, pocieszali się znaną pieśnią słowiańską „Boże caria chrani“...

KRAKOWSKA SZKOŁA NAUK SPOŁECZNO-POLITYCZNYCH. Mamy do zanotowania fakt niemałej doniosłości dla kultury polskiej. Powstaje instytucya, której brak dotkliwie dawał się we znaki rozwojowi świadomości politycznej w naszem społeczeństwie: wolna, o uniwersyteckim poziomie, na wzorze francuskim oparta Szkoła nauk społeczno-politycznych. Przypominamy, że posiadał Lwów swoją szkołę nauk politycznych, której duszą był Władysław Studnicki; niestety instytucya owa musiała zmarnieć, gdy uczyniono z niej agendę stronnictwa wszechpolskiego. Wolny uniwersytet wakacyjny w Zakopanem, w pierwszym roku święcący istne tryumfy, zamarł gdy burza polityczna zwróciła umysły w kierunku czynu bezpośreniego. Nowa szkoła bierze po wolnym uniwersytecie wakacyjnym dobrą tradycyę służby idei polskiej i polskiej racyi stanu.

Z trudem dźwiga się u nas gmach instytucyi postępowej, a postępową na wskroś ma być nowa szkoła, postępową w tym sensie, że światła pod korcem chować nie myśli. Ale charakter ma ona szerszy, wolny od wszelkiej wyłączności stronniczej. Zarówno w zarządzie, jak i w spisie prelegentów znajdujemy zarówno konserwatystów, jak i demokratów narodowych, socyalistów i demokratów bezprzymiotnikowych. Nieobecnością świecą tylko żywioły, zasadniczo wrogie rozwojowi myśli ludzkiej, a zarazem, rzecz znana, nie grzeszące zbytnią bezinteresownością. Nowa zaś instytucya jest oczywiście biedna. Nie stać nas na to, ażeby wzorem Czechów, którzy w ten sposób uczcili swego najwybitniejszego polityka, dra Kramarza, złożyć 100.000 K na założenie szkoły nauk politycznych. Lecz mimo trudnych warunków nowa instytucya dźwiga się i rozpoczyna działać.

Program na najbliższy kurs już ułożony. Oto zapowiedziane wykłady:

Dr. R. Beres „Produkcya i konsumcya Galicyi“, prof. dr. Fr. Bujak „Etapy rozwoju ekonomicznego w XIX. stuleciu“, Dr. L. Caro „Emigracya i osadnictwo“, Dr. Z. Gargas „Historya ekonomii w Polsce przed wiekiem XIX.“, Dr. Z. Golińska-Daszyńska „Dzieje ekonomii w Polsce w XIX stuleciu“, Dr. A. Gross „Kwestya mieszkaniowa“, Z. Heryng „Metodologia nauk społecznych i teorya i praktyka ubezpieczeń“, prof. A. Krzyżanowski „Współczesny ustrój pieniężny i jego zasady“. L. Kulczycki „Syndykalizm“, K. Stefański „Współczesne stosunki ekonomiczne Królestwa Polskiego“, Dr. Fr. Stefczyk „Znaczenie i warunki rozwoju kooperatyw“, W. Studnicki „Ameryka i Europa, Zarys ekonomiczno - społeczny. — Stosunki polityczne i ekonomiczne w W. Ks. Poznańskiem. — Kwestya agrarna“, Wł. Dawid „Psychologia społeczna“, Dr. J. Gertler „Samorząd krajów, miast i gmin“, Dr. Z. Golińska-Daszyńska „Demografia. Rozwój ludności XIX. wieku“, Dr. Wł. Gumplowicz „Państwotwórcze procesy dziejowe, Historya walk niepodległościowych XIX. wieku“, Dr. W. Jodko „Z dziedziny prawa państwowego“, K. Srokowski „Historya i technika dziennikarstwa“, L. Wasilewski „Kwestya ruska“, W. Feldman „Franciszek Smolka i Floryan Ziemiałkowski. Kartka z historyi Galicyi i Austryi“, B. Limanowski „Z dziejów emigracyi polskiej XIX. w.“, L. Krzywicki „Historya kultury polskiej od XVIII. stulecia“, Dr. F. Perl „Historya socyalizmu w Polsce“, J. Piłsudzki „Historya militarna powstań polskich“, Dr. M. Stępowski „Organizacya oświaty u nas i u obcych“, W. Studnicki „Rosya i jej antagoniści“, St. Szpotański „Pisarze polityczni polscy na emigracyi“.

Program ten w jesieni będzie jeszcze uzupełniony szeregiem dalszych wykładów, nadto myśli zarząd o urządzeniu czytelni naukowej, seminaryów dla ćwiczeń i dyskusyi etc.

Informacyi udziela redakcya „Krytyki“.

Nowej instytucyi życzymy pomyślnego rozwoju i rozkwitu dla dobra sprawy polskiej i sprawy postępu.

Z RAPTULARZA.

STANISŁAW GIERSZYŃSKI, syn znanego emigranta z r. 1853, dra Henryka Gierszyńskiego, zmarł w Algierze gdzie z powodu choroby piersiowej odbywał studya lekarskie. Wybitny członek P. P. S., umieszczał w Courrier Européen“ pod pseudonimem Stanisława Mikulskiego, w „Mercure de France“, w „Humanite“ i w „Guerre Sociale“ artykuły, broniąc w nich sprawy polskiej. Zajmował się historyą wojenną Komuny, której dzieje badał źródłowo; początek jego studyum drukowany był w „Przedświcie“ w r. 1909. Dzieło jego miało pojawić się nakładem „Książki“ krakowskiej. Prawdopodobnie pozostanie ono fragmentem

TOWARZYSTWO ARTYSTÓW POLSKICH W PARYŻU zostało niedawno założone. Celem Towarzystwa jest zrzeszenie artystów polskich i wspólna działalność artystyczna, zaznajamianie zagranicy z artystyczną kulturą polską, czuwanie nad wzajemnym stosunkiem sztuki polskiej i zachodniej, ułatwianie warunków pracy artystycznej, wzajemna pomoc, zbliżenie się i poznanie. Założycielami Towarzystwa są: Olga Boznańska, Andrzej Strug, Bronisława Ostrowska, Antoni Potocki, Władysław Reymont, Wacław Sieroszewski. Władysław Strzembosz, Stefan Żeromski. Towarzystwo zwie się „Societe des Artistes Polonais a Paris“ i mieści się przy rue Deufert-Rochereau 32.

ŻĄDANIA HAKATYSTOW. Pisma hakatystyczne domagają się od rządu pruskiego, by w zamian za niestosowanie ustawy o wywłaszczeniu zarządził inne środki, zmierzające do utrzymania oraz wzmocnienia niemieckiego stanu posiadania na kresach.

Pierwszy to popieranie wydatne przez rząd tych instytucyi bankowych niemieckich, które, udzielając pożyczek niemieckim rolnikom, uniemożliwiają przejście własności niemieckiej w ręce polskie.

Drugi środek zaś, to nowa ustawa o parcelacyi, której przedłożenia sejmowi jeszcze w roku bieżącym, domagają się kategorycznie hakatyści, grożąc rządowi „rewizyą“ swego dotychczasowego doń stosunku.

NIEBEZPIECZNE PODRĘCZNIKI SZKOLNE. „Nowoje Wremia“ wystąpiło z atakiem na podręczniki polskie, używane w żeńskiem i męskiem gimnazyum polskiem przy kościele św. Katarzyny w Petersburgu. Przedmiotem pocisków stały się szczególnie „Wypisy Polskie“, wydane przez Bogucką i Niewiadomską. Tendencya owych wypisów wskutek doboru specyalnego wzorów poezyi i prozy polskiej jest zdaniem „Now. Wrem.“ wysoce karygodna i naganna, gdyż krzewi zarówno miłość kraju rodzinnego, jakoteż cześć dla ojczystej przeszłości historycznej.

Autor owego artykułu w „Now. Wrem.“ wytyka szczególnie pomieszczenie w „wypisach“ wiersza Konopnickiej „Hej siewacze“, oraz urywka z „Pana Tadeusza“, opiewającego wiosnę 1812 r. Ponadto zgłupiałego nacyonalistę irytuje ignorowanie w polskich podręcznikach szkolnych Rosyi, jakoby kraju niegodnego wspomnienia. Owóż odpierając powyższy zarzut warszawski „Kuryer Poranny“ wskazuje słusznie, że dostateczną ilość wiadomości o Rosyi i Rosyanach daje uczniom polskim wykład zarówno języka rosyjskiego, jako też wykłady historyi, geografii i t. d

Omawiany artykuł z „Now. Wrem.“ nie jest w tem piśmie odosobnionym. Od pewnego czasu mianowicie pojawiają się tam artykuły, których autorowie czy też autor starają się wyolbrzymić do rozmiarów poważnego niebezpieczeństwa, grożącego Rosyi i rosyjskiej państwowości nawet te ochłapy swobody, jakie posiadamy w konstytucyjnym caracie. Takie tendencye posiadały artykuły o teatrach warszawskich i o wewnętrznym języku urzędowym na kolei wiedeńsko-warszawskiej. Obecnie przyszła kolej na polskie podręczniki szkolne. Artykuły te inspiruje rosyjskie Towarzystwo kresowe w Petersburgu, którego zadaniem jest wzmocnienie na kresach państwowości rosyjskiej, drogą zupełnego zniesienia etnograficznej i historycznej odrębności kresów. Towarzystwo owe zamierza obecnie uszczęśliwić Królestwo Polskie nowemi filiami, oraz zjednoczyć wszystkie istniejące już tam instytucye społeczne i dobroczynne rosyjskie celem wspólnej akcyi w myśl swych zadań. Jakie zaś to zadania, nie trudno się domyśleć z artykułów w „Nowoje Wremia“ podobnych jak omawia.

ZAMKNIĘCIE SZKÓŁ POLSKICH W WARSZAWIE. Po rozwiązaniu Macierzy i Tow. wpisów szkolnych przyszła kolej na barbarzyński zamach na szkolnictwo początkowe. W ostatnich dniach 6 szkółek zamknięto. Zachodzi obawa, że pójdą za niemi dalsze!

COFNIĘCIE OGRANICZEŃ ROSYJSKICH. We wniesionym niedawno przez rząd rosyjski do Dumy projekcie o ograniczeniu osiedlania się cudzoziemców w guberniach wołyńskiej i podolskiej cofnięto obecnie propozycyę zakazu osiedlania się w wymienionych guberniach Polaków z Królestwa Polskiego. Zwrot ów dokonał się na skutek interwencyi jednego z dowódców okręgu wojskowego, znającego dokładnie stosunki na „kresach zachodnich“. Owóż zdaniem owego rzeczoznawcy ograniczenia osiedleńcze, projektowane poprzednio, mogą przynieść poważne uszczerbki dla armii rosyjskiej. Wskutek bowiem przeludnienia w Królestwie Polskiem ludność włościańska emigruje, osiedlając się jednak chętnie w pobliżu kraju rodzinnego. W razie więc zamknięcia jej dostępu do prowincyi, przyległych do Królestwa, prąd emigracyjny skieruje się za Ocean. Że zaś emigranci są przeważnie żołnierzami zapasowymi, grozi przez to armii rosyjskiej poważny ubytek w wyćwiczonym już materyale ludzkim.

Powyższe argumenty rosyjskiego stratega, podziałały tak przekonywająco na sfery rządowe, że zarządzono wspomniane zmiany w ustawie o osiedlaniu się cudzoziemców w guberniach podolskiej i wołyńskiej.

Czas odnowić przedpłatę!

Nowi abonenci „Życia“ otrzymają na żądanie początek powieści Jana Kleczyńskiego pt. „Julek“.

Każdy nowy prenumerator roczny, lub półroczny otrzyma na żądanie, pokąd zapas starczy, tytułem premii bezpłatnej komplet pisma od 1 stycznia 1911 r. (26 zeszytów).

Kwartalniki „Życia“ nabywać można w administracyi po cenie 3 kor.

„Życie“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru **40** hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada. Adres Redakcyi i Administracyi: Dąbrowskiego 2. Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 1 przed południem.

Sekretarz redakcyi przyjmuje w poniedziałki, środy i soboty między g. 3—4.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.

Redaktor odpowiedzialny dr. Maryan Kukiel.

TĘCZA

ZAKŁAD REPRODUKCYJNY i ŚWIATŁODRUKÓW

MICHAŁA POLASKIEGO i SKi.

LWÓW. UL. ZIMOROWICZA 14.



KLISZE CYNKOWE i MIEDZIANE

DLA ILUSTRACYJ WYDAWNICTW ARTYSTYCZNYCH CENNIKÓW, KATALOGÓW ADRESÓW I T. P.

FOTODRUK
FOTOLITOGRAFIA
NEGROGRAFIA

REPRODUKCYE OBRAZÓW FOTOGRAFI RYSUNKÓW PLANÓW TECHNICZNYCH SPORZĄDZANIE MATRYC, KOMPLETNE ADJUSTOWANIE PLANÓW TECHNICZNYCH ZDJĘCIA FOTOGRAFICZNE Z NATURY

WYRÓB i GŁÓWNY SKŁAD ILLUSTROWANYCH KART POCZTOWYCH.

TELEFON 1091.

LEONARD SOLECKI

Lwów, Batorego 2

POLECA:

Najlepszy francuski
KONIAK KURACYJNY

„COURIERE" $1/1$ BUT. ZŁR. 3.50, $1/2$ BUTELKI 1·80 — $1/4$ BUTELKI 1·—. — KAWĘ SUROWĄ I PALONĄ CODZIENNIE NAJNOWSZYM SPOSOBEM. HERBATĘ LIŚCIOWĄ i PROSZKOWĄ. CZEKOLADĘ SUCHARDA. KAKAO HOLENDERSKIE. SMALEC WĘGIERSKI NAJTAŃSZY i WSZELKIE TOWARY KORZENNE WYBOROWEJ JAKOŚCI. — WYSYŁKA DO KAŻDEJ MIEJSCOWOŚCI.

Prywatna Szkoła ludowa

imienia

H. JORDANA

Lwów, Mikołaja 16.

wzorowo urządzona pod względem hygieny i pedagogii przyjmuje uczniów do wszystkich czterech klas.

Mieczysław Kistryn.

Wypożyczalnia książek

pod firmą

„Książnica literacko-naukowa"

Lwów, Kopernika 14.

- Najcelniejsze utwory literatury powszechnej. Najświeższe nowości dla pp. Akademików i Studentów.

Zniżone ceny.

WARKOCZE

od 5 kor. polecam. Z prowincji wystarczy próbka włosów, peruki do przedstawień wypożyczam.

Weisshar, fryzyer
plac Bernardyński liczba 12.